Nr. 10. Lwów, dnia 30. października. 1896 Rok XIX



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

CIETRZEW.

Napisał

WŁADYSŁAW SPAUSTA.

II.

(Poprawa zwierzostanów w kraju. — Cietrzew nie jest wyłącznym mieszkańcem źle zagospodarowanych lasów i pustek. — Warunki przyrodnicze siedliska i wyżywienie. — Wprowadzenie cietrzewi).

Nie ma zakątka lesistego na całem paśmie ziem naszych, gdzieby bodaj z tradycyi nieznanym był cietrzew. W wielu okolicach istnieją między ludem bardzo niewyraźne o nim pojęcia; snać dawno już tam musiał zaginąć, a tylko jakieś mgliste zostały podania o dawnych lepszych czasach, kiedy kury dzikie istniały jeszcze po lasach. Bez wątpienia, że kurą dziką był cietrzew, niegdyś ptak pospolity nawet i w tych okolicach, gdzie obecnie o nim niewyraźna utrzymała się tradycya.

W innych znów pasmach kraju, gdzie zatrata nastąpiła już w najnowszych czasach, albo gdzie się jeszcze znajdują cietrzewie, odznacza się wyrazownictwo ludowe szczególnem bogactwem w tym kierunku, tak, że nasza gwara łowiecka, kształcąc się głównie na tej podstawie, potrzebowała tylko przyjąć do swej skarbnicy bogaty zasób określeń tak płci jako też wieku tego ptactwa z mowy ludowej.

„Najpospolitszy ten u nas ptak“ jak nazywa cietrzewia Bobiatyński, mając niezawodnie na oku współczesne stosunki litewskie, okolicami rozmaicie się nazywał; w ogólności „kogut“, „cieciorut“, „teteruk“, w porze igrzyskowej „kokot“ „tokun“, „gracz“ — przewodnik stada „ćwik“, „młodzik“ gdy już płeć odróżnić się daje — farbownik; młodzież przed opierzeniem charakterystycznem zwano „próżniakami“ — kura to „cieciorka“, „kokotka“. Niemniej bogatem jest wyrazownictwo dla określenia przyrodniczych szczegółów tego ptactwa.

Najpospolitszy ten niegdyś ptak -- a używam tego wyrazu wcale nie w znaczeniu prowincyonalnem — chroniony mimo wszechstronnego prześladowania nieprzekraczalnemi zapory, jakie sama natura postawiła w pewnych okolicach, nie wyginął i u nas doszczętnie tak, jak to miało miejsce w wielu krajach na zachodzie; jednak wyginąć może w przyszłości, z każdym bowiem rokiem słabną wały chroniące jego ostatnie przybytki, rosną sadyby wśród głuchej niegdyś puszczy, i praca ziemiańska sięga coraz dalej, zacierając coraz głębiej scenę spokojnej leśnej idylli, wśród której niegdyś tak dobrze było naszym cietrzewiom.

Ptak płochy, głoszący, jak mówi Gesner, „*magna voce*“ swój pobyt, pojawiający się przez długi czas w pewnych

miejscach najregularniej, gnieżdżący się na ziemi, przebywający długi okres niedołężnej młodości, lub pozbawiony niemal możności lata podczas pierzenia, musiałby uledz koniecznie doszczętnej zatracie, gdyby w uszczuplonych warunkach przyrodniczych potrwał dalej nieoględny sposób łowów.

Dopiero nowsze czasy unormowały nieco racyonalniej łowy cietrzewi, a gdzie dobra wola wspomogła ustawę, dobre skutki po zniesieniu prawa pasania po lasach dają się już dostrzegać — ilość cietrzewi zwiększa się — a nawet zwierzostan ten zajmuje nowe, a raczej dawno już opuszczone miejscowości.

Jeszcze w roku 1880, w katalogu muzealnym Im. Hr Dzieduszyckich, biada z rzeczą najdokładniej obeznany autor, że „w ogólności liczba cietrzewi w ostatnim lat dziesiątku znacznie się zmniejszyła.“ W „Przewodniku“ zaś muzealnym z r. 1895 (str. 66). czytamy: „Dzięki troskliwej gospodarce i niepasaniu bydła po leśnych błotach, liczba cietrzewi zaczyna się podnosić w naszym kraju“. Również pocieszająco brzmią raporty myśliwych z rozmaitych stron kraju, a niezmordowany miłośnik tego ptactwa Hr. L. Starzeński dostrzega w latach 1892 i 1893 na igrzyskach w Poddębcach i Chlewczanach, że ilość tego zwierzostanu podniosła się tam w trojnasób, w Dmytrowie zaś co roku stan cietrzewi się polepsza (notatki z r. 1894, 1895 — 1896).

Jest dość rozpowszechnionem, osobliwie na zachodzie, mniemanie, że obfity zwierzostan cietrzewi daje nieomylną wskazówkę złego gospodarstwa leśnego. Ze zdaniem takiem można się spotkać nawet w dziełach poważnych: *Ein guter Birckwildstand gibt den Beweis schlecht bewirthschafteter Forste, weil dieses Wild sich nur in grossen öden Flächen wohl befindet*“. Gdyby to było bezwzględną prawdą a nie na urojeniach zbudowanym komunałem, to — lecz nie gniewajmy się — w pewnych okolicach kraju naszego nastąpićby musiało przeludnienie cietrzewi, — wszak zrobiono tam wszystko, aby osiągnąć ideał cietrzewiego raju (?), — tymczasem niema tam cietrzewi, a te niedobitki, które się tam jeszcze plątały, znikły bez śladu. Rzecz ta nie nadaje się do poparcia przykładami, niech tu zatem sam ogólnik wystarczy, a już komu innemu pozostawiam rolę bociana.

Odwrotnie znów, w okolicach, gdzie niewiele starano się o sprowadzenie tych rzekomo niezbędnych warunków, cietrzewie się rozmnożyły tak, że ciekawą zrobiłby minę ów fabrykant spopularyzowanej hypotezy, dojrzawszy wśród wcale nieźle zagospodarowanych lasów 150 — 200 cietrzewi na toku.

Na czemże polega tedy ta dziwna teorya, skazująca prędzej czy później na zatratę ród cietrzewi, bo łącząca ją z poprawą gospodarstwa leśnego? Wszak stosunki zachodu wcale jej nie popierają, a już wcale przeczy temu statystyka, której cyfry świadczą najwymowniej, że ten niby to mieszkaniec pierwotnej puszczy istnieć może bardzo dobrze i wśród dobrej gospodarki leśnej i mnożyć się może pod egidą rozumnej ręki kulturnej. W r. 1892 padło w całej Przedlitawii 9458 cietrzewi, z czego na Galicyę przypada tylko 402 sztuk. Gdyby to miało być świadectwem naszej wysokiej — lub przynajmniej dość dobrej gospodarni leśnej — to zgodziłbym się wreszcie i na tę większą ofiarę i możebym zrezygnował z cietrzewi, ale niestety tak nie jest. Raczej cietrzewie nasze są niedobitkami, które przetrwały aż do naszych czasów, a miejscami zwierzostan ten poczyna wzrastać nie w skutek złej gospodarki, ale polepszenia się stosunków siedliskowych właśnie w skutek racyonalniejszej gospodarki leśnej i ujęcia łowiectwa i ochrony tego ptaka w postępowe karby.

Niegdyś w bezbrzeżnych naszych puszczach leśnych, których eksploatacya ograniczała się na plądrowniczym przerębie u brzegów, reszta zaś stanowiła dosłowny „Nieznanów“, w który i pasterz nie miał po co trzód swych zapędzać, było dla wszystkiego, co w tych lasach żyło lub żyć mogło, podostatkiem najkorzystniejszych warunków bytu i rozmnoży. U brzegów rzadkie zadrzewienia przechodziły w niskie i drobne zarośla, bo były to najbardziej nawiedzane pastwiska, dalej coraz większe gąszcze poprzerzynane polanami, gdzie stagnująca woda. nie dopuszczając zadrzewienia, wytwarzała torfowate lub ostremi trawami zarosłe halizny, a dalej znów po katastrofie, spowodowanej w drzewostanie burzami i wiatrami, wdarły się promienie słońca, i wyjałowiły ziemię, na której tylko wegetacya masalna wrzosów rozszerzyć się mogła. Były tam niezawodnie i dla cietrzewi prawdziwie rajskie ustronia, karmiła je ze wszech stron niewyczerpana pierś natury i utrzymała w późne czasy, mimo wieki trwającego prześladowania ze strony człowieka.

Jeżeli taki stan lasów miał na myśli twórca wspomnianej teoryi, zowiąc go złą gospodarkę, to zgoda; zachodzi tylko niewłaściwość w nazwie, bo w czasach tych lasy jeszcze nie wchodziły w sferę gospodarstwa narodowego, a zatem i o jakiej takiej gospodarce lasowej nie może być mowy.

Stan przejściowy, stan połowicznej jakiejś gospodarki, gdzie przedmiot sam wszedł już na tory ekonomiczne, a techniczne wykonanie jeszcze wiele do życzenia pozostawia, to najniebezpieczniejsza epoka dla zwierzostanów w ogóle, zwłaszcza, gdy dalej trwają w łowiectwie stosunki rozluźnione. Na szczęście to stadyum przejściowe albo mija, albo minęło już bezpowrotnie; wiekami nagromadzone zapasy starodrzewów zużytkowano byle jak w stosunkowo bardzo krótkim czasie, a w obec nowych pojęć i potrzeb stara gadka: „był las gdy nie było nas, będzie las gdy nie będzie nas“, już nie mogła na długo uspokoić umysłów; przeciwnie, coraz to więcej żywotności nabierała szara jeszcze do niedawna teorya, potrzeba racyonalnej gospodarki w lesie, który, po przeprowadzeniu socyalno-ekonomicznych reform wielkiej doniosłości, po wykupnie praw pasania i poboru drzewa, przybrał dopiero charakter własności prywatnej w całem tego słowa znaczeniu.

Teraz to dopiero zaświtała nowa, nieco pocieszniejsza era również i dla zwierzostanów cietrzewi, gdy w uspokojonych, choćby najsilniej szarpniętych lasach, rozpoczęła się jakaś racyonalniejsza gospodarka, gdy wielkie powierzchnie pokryły się gęstwą młodników, gdy wyręby skoncentrowały się tylko na pewnych miejscach, i gdy nowe racyonalne zasady pokierowały także łowiectwem.

Nie przeczę bynajmniej, że cietrzew doskonale może prosperować w zaniedbanych stosunkach — fakta to stwierdzają — nieprawdą jest wszakże, jakoby tylko ten anachroniczny stan rzeczy wytwarzał dla niego niezbędne warunki, bo w takim razie, choć z bolem serca, złamałbym pióro, przekonany o niechybnej zagładzie tego zwierzostanu, i nie kreśliłbym apologii jego rozmnoży.

Wprawdzie częste trzebieże młodników, mające w lasach kulturnych tak wielkie fizyologiczne a nawet finansowe znaczenie, nie sprawiają zbyt wielkiej przyjemności

zwierzostanom w ogóle, a zatem i cietrzewiom, zwłaszcza gdy się je wykonuje w porze lęgowej, lecz właśnie jest rzeczą prawdziwego racyonalizmu w technice gospodarskiej nieszkodliwe pogodzenie sprzeczności, jakie wymagania natury przeciwstawią potrzebie kultury. Tylko w ten sposób człowiek potężnieje wśród przyrody, a ona sama pod błogosławieństwami rozumnej pracy coraz piękniejszą się staje. Niemniej zaprzeczyć niepodobna, że cietrzew, jakkolwiek mało wymagający, pozornie potrzebuje pewnych ściśle ograniczonych warunków otoczenia, pośród których dopiero czuje się dobrze i rozmnaża się obficie.

Trudno nam dziś jeszcze rozstrzygnąć z całą ścisłością, na czem polegają warunki, w których zwierzostan ten zupełnie dobrze się czuje, jednak z tego, co już wiemy o przyrodzie tego ptaka, wolno nam wnioskować, że i lasy kulturne mogą być nader wygodnym dla niego siedliskiem. Co najmniej wchodzą tu w grę warunki klimatyczne, bo jest to w całem tego słowa znaczeniu bohater naszej zimy, zrosły z groźnym szumem akwilonów północnego nieba, któremu nawet nie służą łagodne podmuchy południa. Niezawodnie przeto główną rolę odgrywać tu muszą warunki wyżywienia, obecność spokojnych ustroni na łęgi, niemniej pewna łączność większych kompleksów lasów i łąk, gdzie wśród rozmaitych stosunków oświetlenia sezonowa pojawia się żywność, i gdzie jest dość miejsca dla tej szerokiej natury do odbywania igrzysk w porze wiosennej, ku czemu ptactwo to zawsze bądź zręby bądź łąki, jednem słowem otwarte miejsca obiera.

Rozumując tu czysto po ludzku, wspomniałem o głównych warunkach tak, jak gdyby dzieła natury tylko od nich zależały, jak gdyby częstokroć najsłabsze ogniwo łańcucha nie było czemś, w obec czego wszystko inne żadnej nie przedstawia wartości. My zaś po największej części nie dostrzegamy tych najsłabszych ogniw, od których zależy przyrodnicze „być“ lub „nie być“.

Żywność ze świata zwierzęcego, którą szczególnie pobiera delikatna młodzież, z trudnością dałaby się choćby nawet tylko z przybliżoną dokładnością wyszczególnić. Niemal steoretypowo figurują w tym jadłospisie t. z. jajka mrówcze, ślimaczki drobne, koniki polne, pędraki i liszki rozmaitych owadów. Jak gromadka kurcząt domowych z gorączkową skwapliwością ubiega się o każdą muszkę i każdego robaczka na drodze swego pochodu, a przybrana matka parpan em ziemi ułatwia znalezienie ukrytych przysmaków, podobnie też i stadko cietrzewi żeruje niezmordowanie przebiegając częstokroć daleką drogę. Że w poszukiwaniach tych głównym celem są owady i robaki, to jest rzeczą nadto widoczną, jakkolwiek nie obejdzie się tam bez uskubywania listeczków, drobnych nasionek, jagódek, a nawet piasek bywa tam potrzebny do strawienia tego *mixtum compositum*, z jakiego się składa żywność ptaka o tej porze.

Raptowny wzrost młodzieży może mieć miejsce tylko przy nader silnem i niemal ustawicznem odżywianiu; to też stadka cietrzewi, rozpuszczając swe zagony, kierują się zawsze tam, gdzie oświetlenie lub inne znów warunki chwilowe dnia, nagromadzają obficie żywność ze świata zwierzęcego, lub czynią ją przystępniejszą dla ptactwa. Sądząc na gruncie tego, co się tu widzi, zdaje się, że warunki dostatniego wyżywienia młodzieży znalazłyby się niemal w każdej okolicy; inaczej jednak wyglądają warunki wyżywienia ptactwa dojrzałego, będące niejako monopolem, ograniczonym na pewne tylko okolice, którego nieprzerwany łańcuch sezonowy stanowi niezawodnie *conditio sine qua non* siedlisk cietrzewich.

Ptak przywiązany do miejsca musi posiadać sposób do żywienia się przez rok cały, inaczej wynosi się z siedlisk, gdzie następują sezonowe głody i niedostatki. Pączki brzozy, buczyny, olchy, leszczyny i wierzb rozmaitych, nawet całe latorośle objada cietrzew z wiosny; później spasa młodziutkie listeczki drzew, trawy, wrzosu, zjada młode, jeszcze zupełnie miękkie szyszki sosny, a gdy nieco później dojrzewają rozliczne gatunki jagód, otwiera się nader bogaty zasób pożywienia w najstosowniejszej porze, gdy ptak wypierzony, albo mało albo wcale nie latając, skazany jest na żywność przyziemną.

W lipcu żeruje cietrzew jagody czernicy, w sierpniu dojrzewają łochynie, nieco później są już jagody gogodzy czy też kamionki, a wreszcie żórawina na torfowych błotkach, to znów nasiona trzmieliny po lasach dostarczają mu żywności. Wiele gatunków krzewów jagodnych zachowuje swe owoce przez całą zimę, skąd je częstokroć z pod śniegu umie cietrzew wygrzebać (n. p. żurawinę), niemniej jagódki jałowcu w rozmaitych stadyach dojrzewania stanowią ważną podporę w chwili, kiedy innych jagód już zabrakło.

W porze wiosennej, karmiąc się przeważnie pęczem drzew i połykając przytem wiele niestrawnego drzewnika, potrzebuje cietrzew podobnie jak głuszec zębów w żołądku — to też połyka drobne kamyczki lub bodaj grubszy piasek, ułatwiając w ten sposób trawienie. W obec tej żywności ze świata roślinnego, zjada ptak dojrzały mnóstwo owadów i robaków, o czem najlepsze wyobrażenie może dać zawartość jego żołądka.

Rozpatrzywszy się nieco w warunkach, w jakich cietrzew istnieć i rozmnażać się może, mimowolnie rodzi się nadzieja, że mamy tu do czynienia z przedmiotem nader wdzięcznym dla łowiectwa nowoczesnego, wdzięcznym przynajmniej dla wielu okolic, w których go obecnie niema, a gdzie istnieją wszystkie warunki przyrodnicze, odpowiednie temu szlachetnemu ptactwu. Jakiego rodzaju jeszcze inne względy wpływać mogą na szczególne przywiązanie się cietrzewi do pewnej niewielkiej okolicy — jestto pytanie, na które w specyalnych wypadkach możeby się i znalazła jakaś odpowiedź zaspakajająca ciekawość; w ogólności jednak tak o tym, jakoteż o zupełnie odwrotnym objawie niewiele pewnego da się powiedzieć, bo tylko do pewnych granic sięga słabiutku nasza wiedza, a po za niemi misterny warsztat przyrody gruba okrywa zasłona.

Niezdobyte grody pierwotnej natury, te nieprzebyte bagna i moczary, ochroniły w wielu okolicach cietrzewia od zupełnej zagłady w czasach, gdy innej ochrony niebyło — ale w naszych czasach, pomimo, że zmieniły się do niepoznania stosunki przyrodnicze kraju, niekoniecznie na korzyść tego zwierzostanu, nie potrzebujemy mu wypisywać wyroku zatraty. Wprawdzie wiele dziewiczych ustroni, gdzie się rozciągały raje cietrzewi, zmieniły swą szatę; pług dawno przewrócił nieużyte wrzosowiska, nieprzebyte rojsty jaka taka liznęła melioracya, głuche puszcze zasiały się gęstemi sadybami, tu i owdzie dymi komin fabryczny, a tam przeleciała machina parowa — ale pozostało jeszcze dosyć miejsca i dla cietrzewia. Kultura i postęp, odbierając jedną ręką to, co się im należy, drugą pragną sztukować według możności i wszelkimi środkami podtrzymać jej dzieła. Ustawodawstwo, oparte na prawach przyrodniczych, znajomość warunków życiowych zwierza, pietyzm rozumu i serca dla wszystkiego, co się da pogodzić z obecnym stanem społeczno-ekonomicznym, a komu to nie wystarcza, to bodaj gorliwość na pasyi myśliwskiej oparta, lub przemawiający do każdego interes ekonomiczny — oto bogaty arsenał w tym kierunku.

Wierzę mocno, iż w bardzo wielu okolicach lesistych naszego kraju zwierzostan cietrzewi dałby się doprowadzić do takiej rozmnoży, że w obec tych naszych rodzimych bażantarni zbladłyby uroki kolchidzkiej zwierzyny, podtrzymywanej wielkim nakładem przez możnych amatorów. Raczej więc starajmy się o rozrodzenie naszych rodzimych, a o wiele wspanialszych bażantów wszędzie, gdzie tylko zdają się być odpowiednie ku temu warunki, a w każdym razie starania poświęcone tej sprawie wpłyną nader błogo na łowiectwo w ogóle.

Gdyby cietrzew z natury nie był tak silnie przywiązanym do pewnej miejscowości, sama ochrona bez dalszych starań mogłaby tu zdziałać bardzo wiele, bo okolice, obfitujące w ten zwierzostan, stałby się musiały rozsadnikami, tak, jak to ma miejsce u innych gatunków, okazujących więcej skłonności do zajmowania nowych siedlisk. Jednak u cietrzewi, gdzie przenoszenie się stałe pojedynczych ptaków w nowe siedliska należy do wypadków rzadkich, droga ta chyba tylko w wyjątkowych razach doprowadzić może do celu. Zdarza się nieraz, że w okolicach, w których od dawna nikt nie widział i nie słyszał cietrzewia, odezwie cię raptem gra jego. Zjawił się powabny gość, a ktoby sobie zadał pracę śledzenia dalszego, przekonałby się, że częstokroć nie przybył on sam, nie ostrzy on broni, nie szlifuje — zabełkoce namiętnie na krótką chwilę, a odpowiada mu gdzieś w gęstwi kokanie cieciorki. Niestety, w wypadkach takich, gdzie w obcych stronach bez walki, bez współzawodnictwa rozpoczyna się miłośna idylla, praktyka łowiecka wiele popełnia grzechów. Zdradzony ptak już nie doznaje spokoju, i wreszcie albo spłoszony ulatuje z niegościnnej okolicy, albo pada—i znów na długo odwleka się sposobność rozszerzenia się granic jego rozsiedlenia.

Przeciwnie, gdy nic nie przeszkodzi rozpoczętym afektom, pojedynczy ten kogut, wyrzucony może z jakiegoś wojowniczego towarzystwa współplemieńców, pędzi dalej w obcej stronie najszczęśliwsze chwile z wybranemi swego serca, a wreszcie, gdy tylko warunki sprzyjają — cieciorki grzebią dołki na gniazda, siadają na jajach — i jest to najnaturalniejszy zaczątek szlachetnego zwierzostanu, który już następnie tylko subtelnej wymaga ochrony. Mówię „subtelnej“, bo każdy nowo pojawiający się zwierzostan w jakiejś okolicy narażony jest już z natury rzeczy na tem większe niebezpieczeństwo ze strony chodzącej i latającej bandy rabusiów. To też zazwyczaj los takiej pojedynczej rodziny cietrzewi w nowem siedlisku jest nie do pozazdroszczenia, i jeżeli do rzadkości należy zajęcie nowych siedlisk przez ptaki dojrzałe, do niemniejszych rzadkości zaliczyć należy utrzymanie się pokolenia cietrzewi w nowo obranych siedliskach. Stąd rozszerzanie się tego zwierzostanu w drodze naturalnej do rzadkich należy objawów, gdy przeciwnie, w dawnych siedliskach rozmnoża odbywa się w sposób nader pocieszający, a rozszerzanie granic rozsiedlenia, odpowiadając wymogom nowoczesnego łowiectwa, da się przeprowadzić tylko przy pomocy tych samych środków, które w hodowli kuropatw do tak zadziwiających doprowadziły rezultatów.

Banalna piosnka o tępieniu drapieżników, którą już każdy na pamięć umie, niczego tu nie zdziała, jeżeli czyn jej nie poprze, a sam czyn znowu nie zdoła z niczego coś wyprowadzić. Powiem tu więc o cietrzewiach mniej więcej to samo, co niedawno wypowiedział hr. L. Starzeński (Łowiec 1895, str. 128) o koropatwach, a to na gruncie długoletniego doświadczenia: aby o tym przedmiocie coś mówić, trzeba go najprzód posiadać. My niestety we wschodniej Galicyi pozostajemy jeszcze zawsze w stadyum zupełnie idealnych uczuć dla tego zwierzostanu: chcielibyśmy go posiadać, zakładamy nawet tu i ówdzie remizy dla kuropatw *in effigie* chyba, albo chcemy znów z kilku w okolicy błąkających się niedojadków jastrzębich i lisich utworzyć podstawy przyszłego zwierzostanu. Lecz cóż się dzieje? Ledwo takie nieszczęśliwe pokolenie uchowanej przypadkiem kuropatwy z jaj się wykłuje, a już po całej okolicy w świecie skrzydlatym i czworonożnym a nawet dwunożnym przebiega rarytna wiadomość: „Tam się wylęgły kuropatwy“. To istny wyrok na nie. Doświadczyłem naocznie skutków tego wyroku, widząc, jak z licznej rodziny, już po spadnięciu śniegów, pozostała tylko $^1/_3$ część, a do wiosny, przy szczęśliwym zbiegu okoliczności, przechowała się znów parka. Dzięki takiemu stanowi rzeczy w pewnych okolicach, rodu kuropatw nie możemy jeszcze zaliczyć do zwierząt zupełnie zatraconych, lecz w innych, gdzie trochę gorzej poszło, nikt od lat dawnych nie widział kuropatwy, a gdy przypadkiem zaleciało jakieś stadko ze stron dalszych, to spotkał je los nieszczęsny, bo setki wrogów czychało tam na tę prawdziwą nowalię.

Jak w ekonomii zawodowej, tak i w wielkiem gospodarstwie przyrody, przedmiot rzadki już przezto samo staje się drogim; wczesne n. p. kartofelki, ogórki i t. p. są nader pożądaną łakocią, której nie zbywa na targach, ale gdy grzęda ogrodowa, gdy szerokie łany sypną swem błogosławieństwem, pożywa je ogół i jeszcze coś zostanie dla zagórskich panów.

Kuropatwy, przepiórki, jarząbki, cietrzewie i głuszce, gnieżdżąc się na ziemi, już przez to samo narażone są na niebezpieczeństwo podwójne. Lecz natura obdarzyła je nader wielką płodnością i ten przymiot rodu chroni je przed zatratą, ale tylko wtenczas, jeżeli zwierzostany te do pewnej granicy już się rozmnożyły i już tem samem rostrzeliły na wielką ilość niebezpieczeństwa, grożące im od hordy drapieżników.

Zaprowadzenie sztuczne cietrzewi w okolicach, w których ich dotychczas nie było, nie jest jeszcze podziśdzień poparte tak uderzającymi i pocieszającymi przykładami praktyki, jak to ma miejsce w hodowli kuropatw. Nie brak jednak i licznych i dobre nadzieje wróżących doświadczeń, że zwierzostan ten, przy zachowaniupe wnych prawideł, dyktowanych przez naturę rzeczy, da się sztuką zaprowadzić we wszystkich okolicach, posiadających odpowiednie ku temu warunki przyrodnicze. Jakoż faktem dokonanym może się stać to, o czem zupełnie zwątpili dawniejsi myśliwi. „Wszystkie dotychczas znane i używane sposoby do zaprowadzenia cietrzewi w lesie, w którym nie przebywały, okazały się bezskutecznymi“ powiada,nasz autor (Raiman, Gospodarstwo łowieckie str. 368) — ale bo też i niemożliwych rzeczy żądano od cietrzewi, chcąc je zasiedlić np. w okolicach, w których absolutnie żadnych ku temu warunków nie było. To też całkiem spodziewanym mógł być rezultat takiej praktyki: „zawsze się przenosiły do kniei dogodniejszej i ich naturze odpowiedniej“.

W ostatnich latach usiłowano wprowadzić cietrzewie w górach Wogezkich. Na ten cel sprowadzono 12 kur i 4 koguty w klatkach aż ze Szwecyi i wypuszczono je w maju w miejscu przeznaczenia. Ptaki pozostały w okolicy i rozpoczęły w najlepsze tokować, a cieciorki miano widzieć na gniazdach. Przykro mi, że nic więcej nie mogę powiedzieć o dalszych nader ciekawych losach tej cietrzewiej kolonii, przypuszczam jednak, że milczenie o tem w prasie specyalnej, pokrywa doznane *fiasco*. W każdym razie góry Wogezkie, gdzie jeszcze mnóstwo chowa się skrzydlatych

drapieżników, nie są stosownem miejscem do prób tego rodzaju, i to z cietrzewiem szwedzkim, już choćby z tego względu, że cietrzew północny lub górski, jakkolwiek powierzchownie wcale nieróżniący się od cietrzewi nizinnych, okazuje wiele skłonności do włóczęgi, a nawet do odbywanie stale powtarzających się wędrówek w dalsze okolice.

Nie chcę obciążać mej pracy przytaczaniem przykładów i prób, dokonanych z rozmaitym skutkiem na zachodzie, bo nie znając subtelnej techniki w wykonaniu każdej z takich prób, nie można z pobieżnego opisu oceniać należycie przyczyn udania lub nieudania się tychże. Z pewnością najlepszym mentorem na tej ciemnej drodze będą doświadczenia, zebrane na własnej niwie, a gdy sam przedmiot jest nader powabnym a próby nie narażają na wielkie ofiary, śmiało rzucam słowo zachęty, aby się zabrano u nas do sztucznego zaprowadzania cietrzewi — i oby zachęta ta padła na urodzajną glebę!

Czy płód wysiedziany przez zwykłą kurę, czy też dojrzałe już ptactwo wpuszczone w porze wiosennej w nowe siedliska, doprowadzi prędzej do pożądanego celu — jest to pytanie na które miejscowe doświadczenia mogą dać odpowiedź; zdaje mi się jednak, że import dojrzałych ptaków ze stron dalszych rokuje już choćby dlatego większe nadzieje powodzenia, gdyż ptak, oszołomiony najpotężniejszym popędem, mniej jest czuły w tej porze na zmianę siedliska, a znalazłszy niezbędne warunki bytu, najłatwiej zasiedlić się może. Zresztą sprowadzenie dojrzałych ptaków jest daleko łatwiejsze, niż otrzymanie dobrych zniesień.

Ze wspomnień „Urwisza".

Nie wiem, dlaczego nazwano mnie „Urwiszem", gdyż byłem pięknym, kurdlandzkim wyżłem kasztanowatej maści, którym się wszyscy zachwycali.

Gdym jeszcze leżał przy piersiach matki, byłem bardzo spasiony i niezgrabny. Skóra fałdowała mi się na karku, łapy miałem zanadto grube, chód ociężały, i gdym się puszczał w bieg, zataczając się co chwila i przewracając, musiałem być bardzo śmiesznym.

Ale czas zacierał to z dniem każdym. Rosłem szybko i nabierałem form, tak, że gdy kto przyszedł do mego pana, wykrzykiwał zazwyczaj na mój widok:

— Ach jakiż to śliczny wyżeł!

Pan mój mieszkał na krańcu miasta, w pięknym dworku, otoczonym ogrodami. Nie mogłem pojąć, czem on był i co robił. Miał jeden pokój duży, w którym była cała ściana z okien, obwieszony kilimkami, dywanami, z koszami kwiatów, ze zbrojami, z mieczami, strzelbami, włóczniami, bukietami traw i pawich piór, z wazonami, biustami i z rozmaitymi tego rodzaju michałkami. Ukosem do ściany oszklonej stała tam jakaś wielka sztaluga, a na niej płótno duże na ramach. Tutaj przebywał mój pan całemi godzinami, to podchodził do płótna i skrobał coś po niem niewielkim patykiem, albo zwracał patyk ku dziurawej deszczułce, którą trzymał w lewej ręce. Chwilami zatrzymywał się w tej skrobaninie, odchodził od sztalugi, zwijał rękę w kułak i patrzył, albo zbliżał się do okien i regulował na nich firanki.

Gdym jako młody pies dostał się pierwszy raz do tej pańskiej pracowni, podniosłem trąbę do góry, bo mnie zaleciał jakiś kuszący zapach. Idąc za wiatrem, doszedłem do szezląga, na którym leżała owa dziurawa deszczułka, którą pan zwykle w lewej ręce trzyma. Woniało od niej olejem czy słoniną — już się zabierałem, aby skosztować — gdy wtem spadł mi patyk na nos i pan mój zawołał:

— A to bestya ma wiatr!

To pierwsze uderzenie pozostało mi długo w pamięci i oduczyło od spoglądania na deszczułkę z olejnemi farbami, zwłaszcza, że tymczasem wynalazłem, iż kucharka w kuchni ma znacznie lepsze specyały.

W pokoju mej pani był inny przedmiot, który mnie kusił od najwcześniejszego zarania mej młodości. Biegał tam po podłodze mały, różowy chłoptaś, równie spasiony jak ja, rumiany na pysiu, a na przegubach rączek i nóżek jak gdyby nitkami poprzewiązywany. Gdy biegł, to się zataczał całkiem tak, jak ja, i tak samo się przewracał. Zazwyczaj miał na sobie tylko koszulkę i duży podbródek, a w ręku pajaca z gutaperchy, czasem batog, a najczęściej łyżkę. Z powodu zdaje się tego ostatniego instrumentu, istniała między nami bardzo ścisła przyjaźń.

Gdym tylko wpadł w niezgrabnych lansadach do pokoju pani, już Jaś poczynał się śmiać, krzyczeć i biegnąć ku mnie. Przewracał się na mnie, dusił i rwał za kudły, czasem i za uszy tak pociągnął, żem aż zaskowyczał. Chwile takie nie mąciły wszakże uczuć naszej przyjaźni, gdyż sowicie wynagradzała je pora śniadania, gdy Jasiowi postawiono głęboki talerz kaszki lub kluseczek na mleku. Wtedy ja z braterską otwartością przysuwałem się do pełnego talerza, i chociaż Jaś czasem grzmotnął mnie łyżką po głowie, zmiatałem co się dało. Gdy niańka wpadła do pokoju i zawołała: „A pójdziesz!"— było zazwyczaj po wszystkiemu. Ja oblizując się rejterowałem pod stół, podczas gdy biedny Jaś musiał wytrzymać rozmaite obcierania, przy których wrzeszczał w niebogłosy.

Skąd ten chłopak tak tył, tego dalipan nie wiem, bo ja mu zawsze przynajmniej połowę śniadania zjadłem i w dodatku jeszcze brodę oblizałem.

Pierwsze moje wycieczki na podwórze pod okiem rodzicielki wywarły na mnie ogromne wrażenie. Po raz pierwszy usłyszałem tu głosy psiego rodu, pochodzące od rozmaitych brysiów z sąsiednich podwórzy i sadów. Rodzicielka moja odpowiadała im od czasu do czasu, a ja trząsłem się na całem ciele z emocyi, chociaż jako smarkacz nie rozumiałem jeszcze dokładnie tej poważnej sąsiedzkiej rozmowy, prowadzonej przez płoty i ogrody. Raz emocya ta wzmogła się jeszcze bardziej, gdym ujrzał jednego z brysiów, wchodzącego przez bramę na nasze podwórze. Położywszy uszy po sobie i przysiadając do ziemi, pragnąłem zawrzeć z nim znajomość i już eśmy się powąchali, gdy ktoś ze służby kopnął brysia nogą w bok, a mnie wziął za skórę na karku i wniósł do pokoju.

Jeszcze ciągle pod wrażeniem tego pierwszego spotkania wśliznąłem się do pracowni pańskiej. Szedłem ukradkiem

ku białej skórze niedźwiedziej, na której mi było bardzo wygodnie spać — gdy wtem ujrzałem przed sobą nowego psa. Widok ten wprawił mnie znowu w drżenie. Ruszyłem się, a on także — przysiadłem, a on także — szczeknąłem do niego krótkie powitanie, a on rozdziawił mordę tak jak ja, lecz głosu z siebie nie wydaje. Podnieciło mnie to niezmiernie, skaczę więc ku niespodziewanemu towarzyszowi i uderzam nosem w coś twardego i zimnego.

W tej chwili usłyszałem także śmiech mojego pana i słowa jego:

— A to ma szelma wyobraźnię!

Tymczasem widok nieznanego psa nie schodził mi z oczu, i dopiero teraz uderzyło mnie, że choć go widzę, to go nie czuję wcale. Byłem od niego jakąś twardą ścianą odgrodzony; postanowiłem tedy obejść ścianę i w ten sposób się doń zbliżyć, lecz gdym ruch ten wykonał, nie było już psa za ścianą.

Ach, trzeba było wielu jeszcze złudzeń i irytacyi, ażeby pojąć, że to nie był drugi pies, lecz odbicie mej własnej postaci w lustrze stojącem, którem pracownia mego pana była przyozdobiona. Portrety własne, widziane później w wodzie, dały mi wyobrażenie, że i to była taka stojąca a sucha woda, w której się konterfekt mój własny odbijał.

Takie są wspomnienia z mojej najrańszej młodości. Późniejsze, gdym doszedł do wieku młodzieńczego, są już o wiele poważniejsze, czasem bolesne a nawet tragiczne.

Najboleśniejszą była przeprawa z kucharką. Rzecz się tak miała.

Karmiono mnie osypką, kaszami z lekka maszczonemi lub zabielanemi mlekiem, kartoflami, czasem rosołami, w których pływały rozmaite ochłapki, kawałki chleba, grudki tłuszczu i szczątki mięsa od kości. Te ostatnie wywierały na mnie urok nieprzezwyciężony; za ich zapachem i smakiem byłbym w piekło skoczył, ale cóż, kiedy zapachy te dochodziły mnie tylko z pańskiego stołu, podczas gdy w mojej misce trafiały się zaledwo dawki homeopatyczne.

Byłem podniecony niesłychanie. Dopadłszy na podwórzu jakiej takiej kostki, kładłem się, brałem ją między łapy i gryzłem na wszystkie strony, żeby się choć trochę tego boskiego smaku dogryźć. Nawet na rodzicielkę własną warczałem, gdy się w takich chwilach do mnie zbliżała, bom się bał, że mi chce kość odebrać.

W takich to chwilach pokusy — o, bodajby ta chwila nigdy nie była nastąpiła! — znalazłem się pewnego razu sam w kuchni. Pod blachą huczał ogień, przecudne wonie rozlegały się na około, a na stole, na stolniczce od mięsa, spoczywała przecudna polędwica, którą kucharka dopiero co słoninką naszpikowała. Otóż pytam się otwarcie całego rodu psiego, czy jest na kuli ziemskiej uczciwy, młody legawiec, któryby w takiej chwili oparł się był pokusie? Nie! Ja oprzeć się jej nie zdołałem. Gdy więc kucharka wyszła do sieni, aby coś przynieść ze szafy śpiżarnianej, spiąłem się na stół, chwyciłem polędwicę w zęby, i wyskoczyłem z nią przez otwarte okno na podwórze.

Rodzicielka moja, drzemiąca tuż pod ścianą, zerwała się z niesłychanem zdumieniem i wycięła mnie w kark, już nie wiem, czy żeby mi polędwicę odebrać, czy też chcąc mi dać surową admonicyę za kradzież. Czy tak, czy owak, było to działanie wrogie — nie czekałem więc na dalszy ciąg, tylko kilkoma susami dostałem się do sztachetek ogrodowych, przesadziłem je, i znalazłem się wśród drzew.

Po niejakim czasie znalazło się tu kilka sąsiednich brysiów, jak gdyby już były o mojej kradzieży powiadomione i zaprosiły się na śniadanie. Nastąpiły tedy warczenia i kąsania się wzajemne, a wynikiem ich było to, że mnie, głównemu bohaterowi, dostał się tylko niewielki ochłap mięsa, który z chciwością połknąłem, żeby mi go już nikt nie mógł odebrać.

Tak się skończyła rzecz w ogrodzie; co zaś nastąpiło w domu, gdym wrócił, skradając się chyłkiem ku sieni, wstyd mi opowiedzieć. Najprzód wyprała mnie warzechą sama kucharka, zgryziona okrutnie zniknięciem polędwicy, a potem wymierzył akt sprawiedliwości mój pan, zawsze tak miły i łagodny. Oj, wyciągnął on charap z bykowca, a przytrzymawszy za obróżkę, tak mi skórę wyłoił, że aż mi świeczki w oczach stawały. Nadarmo skowyczałem w niebogłosy — surowa kara za łakomstwo i kradzież została do końca wymierzona. A tak utkwiła w mej pamięci, żem już nigdy nic nie złasował, gdy mnie zaś kiedy kusiło, a pan tylko rękę podniósł i zawołał: „Chcesz polędwicy?“ — tom zaraz brał ogon pod siebie i z takiem uczuciem wstydu na pana spoglądałem, że mogłem nawet niejednemu człowiekowi służyć za wzór skruchy i poprawy.

W dalszym ciągu cielęcych lat mej pierwszej młodości, przypominam sobie zapamiętałe hasania po podwórzu za kurami i kaczkami. Ogromną mi to sprawiało przyjemność. W gruncie rzeczy nie zrobiłem nic złego żadnej kurze i kaczce — czasem tylko stąpiłem na którą niezgrabnie — ale bawiło mnie już to samo, że mnie się ktoś tak strasznie boi i z takim wrzaskiem umyka. Jedno ucho odwrócone na prawo, drugie na lewo, ogon podniesiony do góry — wywaliwszy ozór z pyska z powodu gorąca i umęczenia — uganiałem jak wściekły całemi godzinami, i dopiero kij lokaja lub miotła kucharki doprowadzały mnie do porządku.

Ach, młodość i swoboda mają swój urok nieprześcigniony! Być młodym psem, to prawdziwy raj młodości i niejedna łza żalu i tęsknoty ciecze z oka, gdy się w czasach suchej nauki, niemego posłuszeństwa, sztywnej niewoli lub zobojętnienia starości owe słoneczne dnie przypomina...

Z końcem pierwszego roku mego życia zaczął mnie już pan brać ze sobą na przepiórki. Wyglądał wtenczas całkiem inaczej, niż z patykiem przed sztalugą. Ubrany w lekką bronzową kurtkę, w wysokich kamaszach, przepasany ładownicą, przy której wisiał worek siatkowy, w miękkim kapeluszyku na głowie, przyozdobionym lirą cietrzewia, z lekką lankastrówką, przerzuconą przez ramię, ożywiony, z ogniem w oczach, z rumieńcem na twarzy i żywością w ruchach — był dla mnie ideałem myśliwego, pana i człowieka.

Oczywiście, że na tych kilka polowaniek wychodziłem przy boku mej rodzicielki. Co to była za rozkosz, co za rozkosz! Dziwiłem się tylko, że moja rodzicielka tak niewolniczo szła zawsze na kilka kroków przed panem i ciągle się na niego oglądała. A jak ze sobą rozmawiali! Ona czasem stawała, podnosząc prawą łapę i wyciągała się jak struna, podtrzymując ogon w równej linii z grzbietem — a on, wziąwszy strzelbę do rąk, mówił do niej półgłosem: Poszukaj! Idź dalej! pif! I regularnie wtedy zrywała się przepiórka, huknęła strzelba i ptak padł na ziemię.

W takich chwilach niepospolitej emocyi nie mogłem panować nad moimi nerwami. Zrywałem się tedy jak szalony, poszczekiwałem krótko, płoszyłem skowronki i uganiałem za nimi, orząc niemal trąbą po ziemi. Odzywała się wówczas przeraźliwa świstawka mojego pana, przywołująca do nogi — ale świst ów przelatywał nadaremnie około mych uszu. Dopiero gdy moja rodzicielka, zabiegłszy z boku, wsiadła mi na kark i wytargała należycie — skowycząc przeraźliwie przychodziłem do opamiętania.

Admonicye takie odbierałem niejednokrotnie przy rozmaitych okazyach i przekonałem się, że dobra rodzicielka, znająca temperament swego dziecka i umiejąca w słabe jego strony godzić — to pedagog najznakomitszy. Jej zawdzięczam wiele cnót, które później stały się memi wrodzonemi zaletami, sławiony mój spryt myśliwski i wiatr — moje poczucie porządku, rygoru i posłuszeństwa, które mnie na świeczniku sławy między wyżłami stawiało.

Lecz niestety z tej strony edukacya moja niebawem się skończyła. Pan mój, nie mogąc utrzymywać dwóch psów, darował moją rodzicielkę przyjacielowi, mieszkającemu daleko na prowincyi i od tego czasu już jej więcej nie widziałem.

A nadeszły właśnie ciężkie dla mnie dnie — bo dnie pedantycznej nauki, i wydarzyła się znowu jedna bardzo przykra awantura, która podziśdzień wielce smutnem echem odbija sią w mej pamięci. (Dokończ. nast.)

ŁOWIECTWO W KANADZIE.

Kanada, posiadłość angielska w Ameryce północnej, obejmuje całą, na północ od Stanów Zjednoczonych położoną część kontynentu z wyjątkiem Alaski. Do r. 1867 odnosiła się nazwa Kanady tylko do prowincyi Kwebek i Ontario, dziś atoli wszystkie kolonie, położone na całem terytoryum od Atlantyku do Oceanu Spokojnego, stanowią angielską „Dominion of Canada“, podzieloną na siedm prowincyi.

Klimat całego tego obszaru, od Atlantyku aż po łańcuch gór Skalistych (Rocky-Mountains) cechują srogie zimy, chłodna wiosna, krótkie ale bardzo gorące lato i bardzo przyjemna jesień, zwane latem Indyan, w ciągu której lasy kanadyjskie oblekają się w szatę o bardzo malowniczej skali barw.

Kolumbia, położona po drugiej stronie gór Skalistych, nad brzegiem Oceanu Spokojnego, posiada wybitny klimat nadmorski, odznacza się też łagodniejszemi zimami i latem bardziej umiarkowanem.

Z wyjątkiem wielkich preryj, rozciągających się na zachodzie, można całą Kanadę uważać za kraj lesisty. Pomiędzy stu blisko gatunkami drzew lasów kanadyjskich, celują drzewa szpilkowe, jak jodła, sosna i świerk, jodła balsamiczna i „hemlok“. Wśród drzew liściastych zajmują naczelne miejsce rozmaite gatunki dębów, jaworów, brzostów, klonów, „hikora“, orzech amerykański, buki i brzozy. Kolumbii tylko właściwą jest „jodła Duglasa“ i cedr olbrzymi.

W świecie zwierzęcym, od czasu założenia sławnego Towarzystwa zatoki Hudsońskiej, odgrywały zwierzęta dostarczające futer bardzo ważną rolą. Bóbr amerykański został w skutek zanadto gorliwych łowów zdziesiątkowanym, tak, że teraz przepisano już dla niego czas ochrony, a nawet rzucono się na zakładanie sztucznych żeremi bobrowych, ażeby zwierzę to uchronić od zupełnej zatraty. Nadto żyje w Kanadzie kilka gatunków lisów, wilki, rysie, trzy gatunki niedźwiedzi, rosomaki, żbiki, wydry, kuny, łasice, śmierdziele, szczury piżmowe. W górach Skalistych, a mianowicie od strony kolumbijskiej, trafia się dość często pantera, zwana tu i owdzie lwem górskim.

Do grubszego zwierza, na którego głównie dla mięsa i rogów polują, należą: łoś, jeleń Wapiti (*Cervus canadensis*), ren leśny czyli „Karibu“ (*Cervus tarandus*), ren północny (*Rangifer groenlandicus*), t. zw. po angielsku „muledeer“ (*Cervus macrotis*), jeleń wirginijski (*Cervus virginianus*), najpospolitszy z rochmannej zwierzyny północno-amerykańskiej i jeleń kolumbijski (*Cervus columbianus*). Bizoń preryj północno-amerykańskich zaginął już, lecz na północy żyje dotychczas bizoń leśny, dość licznie rozmnożony, a na wybrzeżach morza Lodowatego wół piżmowy, „umingarok“ Eskimosów (*Ovibos moschatus*). W preryach napotyka się specyalną antylopę „Kabri“ (*Antilocapra americana*), a w górach Skalistych owcę górską (*Ovis montana v. canadensis*) i kozę śnieżną (*Haploccrus montanus*). Do drobniejszej zwierzyny należą: świstak stepowy (*Cynomys ludovicianus*), szop pracz, jaźwiec i królik.

Ptactwo łowne jest reprezentowane przez pardwy i inne kuraki, a z wiosną i w późnej jesieni przeciąga niezliczone ptactwo wodne, zapadając i odpoczywając w swej podróży ku północy lub ku południu.

W licznych rzekach i jeziorach pospolitą jest biała ryba kanadyjska. Bardzo licznymi są także pstrągi i łososie, a po jeziorach przebywają szczupaki i karpie. Do istnej plagi gorącego lata należą bąki i dokuczliwe moskity (komary).

Nadzwyczaj wielką jest liczba jezior i rzek w Kanadzie. Żeglugę czółnami na rzekach utrudniają częste progi a nadto lód, pokrywający jeziora i rzeki przez połowę roku; przecież dla myśliwego i rybyłowcy są one głównym środkiem komunikacyi. Pięć wielkich jezior kanadyjskich: jezioro Górne, (Lake Snperior), Hurońskie, Michigan, Erie i Ontario, wylewają swą masę wód do ostatniego i tworzą wreszcie potężną rzekę św. Wawrzyńca. Potężnemi także a nawet większą przestrzeń zajmującemi, są rzeka Saskaczewan, wpływające do jeziora Winnipeg i Mackenzie, wpadające do morza Lodowatego. Jezioro Winnipeg wylewa swe wody rzeką Nelson, która wpada do zatoki Hudsońskiej.

Minęło już przeszło 30 lat, gdy lord Milton i dr. Chaedle, żeglując po rzece Czerwonej czyli Athabasca (Red River) dotarli do fortu Edmonton i pomiędzy tą miejscowością a wschodnimi stokami gór Skalistych przezimowali w chacie ze śniegu, wiodąc życie trapperów, następnego zaś lata przebywszy szczyty gór Skalistych, dostali się do Kolumbii angielskiej. Książkę dr. Ccheadle, opisującą tę, z niesłychanemi trudnościami i niebezpieczeństwami połączoną podróż, czyta się jeszcze podziśdzień z wielkim interesem, gdyż, pominąwszy wielką kolej kanadyjską (Pacific railway), która idąc z Montreal do miasta Vancouver w Kolumbii, przeszło 2906 mil angielskich mierzy, pozostało w Kanadzie jeszcze niejedno w tym pierwotnym, dzikim stanie, jak było w pierwszych latach szóstego dziesięciolecia.

Jeszcze dzisiaj zastawia łowca kanadyjski swoje paście i żelaza po lasach, chociaż kolej połączyła te dzikie ostępy z cywilizowanym światem i ułatwia zapalonym myśliwym

i rybołowcom zaglądanie do tych siedzib dzikiego zwierza i ryb. To też od kilkunastu lat zjeżdżają tam coraz częściej Kanadyjczycy i Amerykanie, lubiący się bawić wędką lub strzelbą, a nie brak także gości ze starego świata, szczególniej Anglików. Sam zarząd kolei Pacific uznał ważność swej linii dla celów myśliwskich i postarał się, że w pobliżu stacyj kolejowych, a nawet w głębi gór Skalistych pobudowano mniejsze i większe gospody, w których podróżny może się wygodnie ulokować i znaleźć utrzymanie i usługę za tanie stosunkowo pieniądze.

Otóż gospody te stają się letnimi przybytkami myśliwych i rybołowców. Tu można dostać przewodników, naganiaczy, tragarzy, łodzie, a nawet wynająć całe namioty z przyborami łowieckimi. Odnogi głównej linii kolejowej na prawo i na lewo dowożą łowca nawet w dość nieprzystępne okolice, w bezludne ostępy, obfitujące w zwierza łownego i w ryby. A więc bez wielkiej straty czasu i bez wielkich kosztów może dziś Kanadyjczyk ruszać w dzikie puszcze i spędzać tam letnie ferye.

Może być, że już nigdzie na ziemi nie ma dziś tak rozległych i tak bogato w zwierzynę zaopatrzonych kniei jak północno-zachodnie obszary Kanady i nigdzie też nie ma tych ułatwień dla swoich i dla cudzych, jeśli chcą polować lub łowieniem ryb się bawić. Aby jednak zapobiedz przesadnemu wystrzeliwaniu i tępieniu zwierzyny, wydane już zostały i w prowincyach Kanady prawa o ochronie i wykonywaniu polowania, ograniczające liczbę sztuk większego zwierza, które wolno jednej osobie w ciągu sezonu łowieckiego ubić. Nadto zakazanem zostało w niektórych prowincyach na pewien szereg lat polowanie na zwierzęta, którym wytępienie najbardziej groziło.

Każdy cudzoziemiec, t. j. każdy myśliwy, nie należący do mieszkańców prowincyi, w której chce polować, musi kupić kartę myśliwską, ważną tylko na jeden sezon łowiecki, a kosztującą 20 do 25 dolarów. Pomijając niebezpieczeństwa, połączone zawsze z łowami na niedźwiedzia „grizzly“, jest zresztą podróż po prowincyach kanadyjskich całkiem bezpieczną. Indyanie, którzy pierwej koczowali na preryach, dopóki nie wybitym jeszcze był tam bizon, przebywają teraz ściśle na terytoryach, t. zw. rezerwacyach, przez rząd im wyznaczonych, i zamiast być niebezpiecznymi dla kolonisty lub łowca, stają się pożytecznymi pomocnikami białego człowieka w nieznanych mu puszczach.

Klimatyczne stosunki północno-zachodnich okolic Kanady są bardzo dobre. Febry endemicznej tam nie znają. To też nieraz wysełają dziś suchotników ze wschodniej Kanady lub Stanów Zjednoczonych do Manitoby dla klimatycznego leczenia czystem i wzmacniającem jej powietrzem.

Linia kanadyjskiej kolei „Pacific“, która się już w Nowej Szkocyi nad Atlantykiem rozpoczyna, przerzyna wiele najlepszych rewirów myśliwskich, zanim dojdzie do Vancouver nad Oceanem Spokojnym. Łowiec przybywający z Europy może tedy już w Nowej Szkocyi rozpocząć swe łowy na lądzie amerykańskim. W kilku hrabstwach tej prowincyi pojawia się jeszcze łoś i ren leśny czyli „karibu“ nie brak też ptactwa wodnego wszelkiego rodzaju, a w jesieni bywa mnóstwo słonek, nawet tuż pod miastem Halifax, stolicą prowincyi. O 30 mil angielskich od miasta można polować na błotach na kszyki.

Halifax leży nad dużą i rybną zatoką, ma piękną okolicę i jest jednem z najprzyjemniejszych miast kanadyjskich o garnizonie wojsk angielskich i znacznie więcej angielskiem, niż amerykańskiem. Przebywając w Halifaksie może myśliwiec bardzo łatwo podejmywać przyjemne wycieczki łowieckie w różne knieje prowincyi. Dla obcych jest tu także przepisaną karta myśliwska, którą wydaje sekretarz rządu prowincyonalnego. Łosie wolno strzelać tylko w czasie od 16. września do 15. stycznia; strzelanie krów (łosic) całkowicie jest zabronione. Żadnemu łowcowi nie wolno w ciągu sezonu myśliwskiego ubić więcej niż 2 jelenie lub reny i nie można polować na nie z gończakami. Na wydry i bobry jest wszelkie polowanie aż do 1. maja 1897 zakazane. Kniejotki, kuropatwy, słonki i kszyki można jedynie od 16. września do końca listopada strzelać.

Wyjechawszy z Halifaksu, dostaje się podróżny po niedługiej podróży koleją żelazną do Nowego Brunszwiku i tegoż stolicy miasta St. John. Jakkolwiek oddawna już osiedlona, zachowała ta prowincya jeszcze dużo lasów, w których łoś, karibu i jeleń wirginijski nie są rzadkimi gośćmi, a nawet czarny niedźwiedź dość często się pojawia. Na jelenia polują w Nowym Brunszwiku jeszcze dość często na wabia. Wabik w kształcie lejka robią z kory brzozowej i są jeszcze Indyanie, którzy wybornie użyć go umieją.

Pomiędzy miastami Edmundstonem a St. John rozciąga się obszar lesisty, poprzecinany licznemi rzekami, gdzie i myśliwy i rybołowca mogą znaleść dość do czynienia. Indyan jako przewodników i czółen można dostać we wiosce indyjskiej w pobliżu tak zwanego Parku St. Andrews. Potoki, obfitujące najbardziej w łososie, są wprawdzie w prywatnych rękach, ale pozatem jest jeszcze wiele jezior i rzek, w których można łowić pstrągi i łososie, a gdzie rybołostwo jest wolne. Ptactwa wodnego jest wszędzie wielka mnogość. Cudzoziemcy są obowiazani kupić kartę myśliwską, która kosztuje 20 dolarów. Ważność jej jest całoroczna, licząc od 1. września, a wystawiają je władze w St. John lub w Frederiktonie.

Łosie (byki), karibu i jelenie można bić od 30. września do 15. stycznia; strzelanie krów jest zabronione. W jednym sozonie myśliwskim nie wolno nikomu ubić więcej niż 2 łosie, trzy karibu i trzy jelenie. Bóbr, wydra i inne zwierzęta, puszukiwane na futra, są od 1. maja do 1. września ustawą chronione. Kniejotki, słonki i bekasy można tylko od 20. września do 1. grudnia strzelać, kaczek nie wolno chwytać w siecie i samotrzaski. Tożsamo zabronione jest używania broni palnej wielkokalibrowej t. z. „Swivelguns“ na ptactwo wodne.

Prowincya Kwebek i graniczący z nią Stan amerykański Maine obfitują jeszcze zawsze w zwierzynę. W okolicy jezior Megantic, sławnych ze swej malowniczości, mają stałe ostoje łoś, karibu i jeleń wirginijski, a szczególniej ten ostatni jest tu dość licznym. To też nawet tryc w myśliwstwie, skoro tylko zaopatrzy się w dobrego przewodnika, może położyć parę jeleni. Kniejotki trafiają się często, a niedźwiedź czarny nie należy do rzadkości. Najlepsze knieje łosi, karibu i jeleni leżą niedaleko ujścia rzeki Annance do jeziora Megantic. Rzeki i jeziora tego terytoryum obfitują nadzwyczaj w pstrągi, są zatem bardzo często przez kanadyjskich i angielskich miłośników sportu wędkowego odwiedzane.

W prowincyi Kwebek kosztuje karta myśliwska 20 dolarów. Polowanie z psami na grubą zwierzynę jest zabronione. Każdemu uprawnionemu do polowania nie wolno rocznie ubić więcej niż 2 łosie, dwa reny leśne (karibu) i trzy jelenie. Na jelenia wolno polować od 1 października do 31 grudnia, na łosia i karibu od 1 września do końca stycznia. Czas ochrony ptactwa jest podobny jak w Nowym Brunszwiku. W dziesięć dni po nadejściu czasu ochrony, nie wolno żadnej stacyi kolejowej, statkowi lub furmanow

towarowemu przewozić łosia, rena lub jelenia, wyjąwszy, jeśli jest na to wystawiony przez władzę specyalny certyfikat. Każdy, kogoby przydybano polującego bez karty myśliwskiej, podpada karze pieniężnej 100 dolarów lub odpowiedniej karze więzienia, gdyby grzywny nie mógł uiścić. Cudzoziemcy nie mogą i na wolnych wodach ryb łowić nie uzyskawszy przedtem rybackiego certyfikatu.

W północnych i środkowych obszarach prowincyi Ontario jest jeszcze dużo zwierza rochmannego, szczególniej nad górnym biegiem rzeki Ottawy i Mattawy. Wody roją się tam od pstrągów. Szczególniej obfitującemi w zwierza łownego są okolice miasta Pembroke nad jeziorem Alumette, które jest właściwie rozszerzeniem rzeki Ottawy. Łoś i karibu są tu rzadsze, i dlatego łowy na te zwierzęta były przez kilka lat zupełnie zakazane. Zato zwierzostan jeleni jest bardzo znaczny. Także niedźwiedź nie bywa rzadkim gościem, czego najlepiej dowodzi wypadek, iż w r. 1892 ubito niedźwiedzia na ulicach miasta Pembroke. Ważną stacyą dla myśliwego jest miasto Mattawa, położone nad ujściem rzeki Mattawy do Ottawy. Tu łatwiej już można wytropić łosia. W mieście są wygodne hotele i można nie drogo wynajmować czółna i przewodników.

W zachodnich obszarach prowincyi Ontario bywa dużo przepiórek, a w hrabstwach Essex i Kent można w jednym dniu i 30 sztuk ptactwa tego ubić. Dobre polowania na przepiórki są także w okolicach miasta Londynu, gdzie nie brak również kniejotki kołnierzowej, bekasów i królików. Na błotach poniżej Chatham nad jeziorem St. Clair bywa dużo kszyków, tak, że dobry strzelec może ich łatwo 20 do 40 w ciągu dnia ubić. Na samem jeziorze St. Clair strzela się wybornie dzikie gęsi, szczególniej na porannej zasiadce, a dobrem jest również polowanie na kaczki, chociaż najlepsze na nie stanowiska znajdują się w prywatnem posiadaniu.

Jelenie można w Ontario tylko od 20. października do 15. listopada strzelać. Łowy na dzikie indyki są do 15. października, a na bobry do 1. listopada 1897 zakazane. Kuraki i ptactwo błotne wolno strzelać od 15 września do 15. grudnia, kaczki i drobniejsze ptactwo wodne od 1. września do 15 grudnia, dzikie łabędzie i gęsi od 15 września do 30 kwietnia. Obcy myśliwy, nie będący obywatelem prowincyi Kwebek lub Ontario, płaci 25 dolarów za kartę myśliwską. Grubszej zwierzyny łownej i przepiórek nie wolno strzelać na eksport.

* * *

Zanim przejdziemy do dalszych prowincyj kanadyjskich i ich stosunków łowieckich, przyglądnijmy się bliżej jeleniowi wirginijskiemu, o którym tu tak często mowa.

Jeleń wirginijski (*Cariacus v. Cervus virginianus)* ma w budowie swej wiele podobieństwa do daniela naszych zwierzyńców i jest tej co on wielkości. Odróżnia go na korzyść kształtna, prześlicznie modelowana głowa, najpiękniejsza podobno ze wszystkich głów jelenich. Maść jelenia wirginijskiego zmienia się wedle pór roku; w lecie jest ona żółtawo-ruda, na grzbiecie ciemniejsza, po bokach jaśniejsza, pod gardłem i na brzuchu całkiem jasna. „Kwiat“ czyli ogon jest znacznie dłuższy niż u naszych jeleni i sarn; z wierzchu jest on ciemno-brunatny, od spodu i po bokach biały. Głowa jest także zawsze ciemniejszą od reszty ciała i niemal brunatną; mordka ponad nosem jest jakby białym pierścieniem okoloną.

W porze zimowej ciemnieje sierć jelenia wirginijskiego i robi się popielato-brunatną, bardziej do maści naszych sarn podobną, przyczem pojawiają się białe plamy wewnątrz „łyżek“ (uszu), na spodzie głowy, na cewkach od wewnątrz i na brzuchu; wreszcie ogon od spodu i po brzegach robi się jaskrawo biały. Suknia ta zimowa podnosi jeszcze bardziej piękne kształty jelenia wirginijskiego i dodaje mu wiele uroku.

Długość średniego jelenia wynosi 1·8 metra, wysokość 1 metr, ogon mierzy 30 centymetrów, tyleż długość głowy, długość łyżki 15 cm. Bardzo charakterystycznymi i ozdobnymi są rogi samców, idące najprzód ku górze i ku tyłowi, potem zwracające się nagłym skrętem niemal horyzontalnie ku przodowi, pięknie uperlone, opatrzone licznymi końcami okrągłymi (nie łopatowate jak u daniela lub łosia) i zwracające się szczytowymi końcami ku wewnątrz, tak, że tworzą w istocie jak gdyby obręcz korony. Wysokość tej korony mierzy 30 cm., lecz długość każdej tyki przenosi i 50 cm. w skutek opisanego powyżej skręcenia ich ku przodowi. Łania jest znacznie mniejszą, długość jej nie przenosi 1·3 metra, a wysokość 80 cntm. Sysaki są ciemno brunatne z żółtawemi lub białemi plamami.

Kanada jest najpółnocniejszą ostoją jelenia wirginijskiego; bardziej na południe przebywa on po większych kniejach szczególniej górskich, aż ku Meksykowi, a na zachód aż po góry Skaliste. W bardziej zaludnionych i z większych lasów ogołoconych Stanach amerykańskich, nie ma go już zupełnie.

W sposobie życia podobnym jest jeleń wirginijski z wielu względów do jelenia naszego. Przebywa w małych rudlach, do których przyłączają się starsze rogacze po przebyciu rui. W lutym lub marcu zrzuca samiec rogi, a wkłada je z końcem lipca lub w sierpniu. W październiku następuje ruja.

Stary Audobon znał na wskróś życie i zwyczaje jelenia wirginijskiego i poświęcił mu dłuższy opis. Wedle niego zwierz ten przywiązuje się bardzo do raz obranej ostoi, i chociaż prześladowany, zawsze do niej powraca. To też myśliwy, wyruszywszy raz jelenia z legowiska, może być pewnym, że po niejakim czasie, jeśli nie na tem samem miejscu, to z pewnością w pobliżu go odnajdzie. Najmilszem miejscem pobytu jelenia nie jest starodrzew, lecz z rzadka gęstwinami i młodniakami porosłe halizny, gdzie ma dość paszy. W górach można nieraz ujrzeć jelenia, leżącego na nagiej skale, jak kozicę, lecz najzwyczajniejszem jego legowiskiem są gęste zarośla koło wywrotów, lub zacisza pod osłoną skał, szczególniej w zimie, gdy szuka ochrony od ostrych wiatrów. W lecie trzyma się blisko rzek i wód, a uciekając przed moskitami, kładzie się nieraz w wodzie, tak, że tylko nos z niej wychyla.

Żywienie się jelenia wirginijskiego jest rozmaite. W zimie zadowalnia się drobnemi gałązkami i pąkowiem drzew i krzewów, lecz na wiosnę i w lecie wybiera z pewnym sybarytyzmem co najsmaczniejsze trawki i zioła zakradając się czasem na uprawne pola, na młodą kukurudzę i inne gatunki zbóż. Jagody wszelkiego rodzaju i orzechy zjada łakomie. To też w późnej jesieni i w zimie chudym jest jeleń wirginijski tak, że na nim tylko skóra i kości; dopiero od początku sierpnia do listopada staje się tęgim, łojnym, tak, że czasem w wadze do 80 i 90 kilogr. dochodzi.

W październiku, gdy się bekanie rozpocznie, jest rogacz bezustannie na nogach, opanowuje go istna gorączka, ugania bez wytchnienia, a gdy napotka rywala, staje z nim chętnie do zaciętej walki. Śmierć jednego z zapaśników w takim pojedynku nie jest czemś nadzwyczajnem. Gorzej,

gdy obaj zapaśnicy, zaplątawszy się rogami tak, że się już rozłączyć nie mogą, skazani są na powolne konanie. Audobon opowiada, że znajdywał takie splątane wieńce — raz nawet trzy pary razem — i nie był w stanie ich rozplątać. Ruja trwa około ośmiu tygodni; u starszych rogaczy rozpoczyna się wcześniej, u młodych później. Po zrzuceniu wieńców żyją rogacze razem w najlepszej zgodzie aż do najbliższej rui.

Łanie są najbardziej łojne od listopada do stycznia, zaczynają potem chudnąć i najgorzej wyglądają w porze cielenia się, w kwietniu lub w maju. Przy karmieniu nabierają znowu ciała.

Łania ukrywa swe młode w gęstym krzaku lub wysokich trawach i przychodzi do nich kilka razy w ciągu dnia i nocy, aby je nakarmić. Dopiero, gdy młode nieco podrosną, zabiera je ze sobą. Schwytane młode sysaki dają się łatwo oswoić, ale są w stanie dokuczyć swem przywiązaniem. Audobon opowiada o jednym z przyjaciół, który schwytawszy całkiem młodego sysaka, wychował go przy kozie. Była to młoda łańka. Ta przywiązała się do swego wychowawcy do tego stopnia, że ciągle za nim chodziła, a gdy był w pokoju, wskakiwała do niego przez okno. Pół biedy, gdy okno było otwarte, lecz łańka i z szyb nic sobie nie robiła i tłukła je niemiłosiernie. Umiała także przewracać papiery na biurku, oblizywać aż do uszkodzenia okładziny książek, ogryzać uprząż na konie, spasać kwiaty i krzewy w ogrodzie, a nawet odgryzać główki młodym kurczakom i kaczętom.

Łańka nie wydaje zrazu więcej nad jedno młode, później jednak miewa po dwoje, a nawet po troje cieląt naraz. Do swoich młodych przywiązuje się bardzo, na głos ich przybiega natychmiast. Indyanie polując na jelenie wyzyskują to przywiązanie łani do swego potomstwa i wabią je naśladując głos sysaka.

Jeleń wirginijski jest jednym z najbardziej milczących stworzeń. Rzadko kiedy wydaje z siebie głos jakikolwiek. Cielę daje znać o sobie cichem beczeniem, które matka słyszy na jakie 100 kroków i odpowiada na nie równie cichem mruczeniem. Silny, przeraźliwy głos wydaje zwierz ze siebie tylko wtedy, gdy jest raniony. Spłoszony rogacz uderza raciczkami i fuka, w nocy zaś śwista podobnie do kozicy. Zmysł węchu ma nadzwyczaj rozwinięty, toż samo i słuch bardzo dobry. Woda jest mu niezbędna, trzyma się zawsze w pobliżu rzek lub jezior, aby módź w nocy iść do wody. Na sól jest bardzo łakomy, to też przy lizankach można go nadybać.

Chód jelenia wirginijskiego jest bardzo rozmaity. Biegnąc, trzyma głowę nisko i posuwa się ostrożnie, a cicho, czasem tylka poruszając łyżkami lub ogonem. Stadu przewodniczy największa łania i idzie przodem, jelenie zaś postępują za nią gęsiego, rzadko po dwie sztuki obok siebie. Gdy nie ma powodu do przestrachu i ucieczki, posuwają się zwierzęta dość wolno; spłoszone, skaczą dwa lub trzy razy w górę, kręcą głowami na wszystkie strony, wypatrując skąd grozi niebezpieczeństwo, podnoszą ogony do góry, i znowu we wspaniałych lansadach uciekają. Jeżeli zaś zwierzę zobaczy przedmiot swego przestrachu, to wyciąga się jak struna i pędzi nito rumak wyścigowy. W ruchu tak wytężonym nie jest w stanie długo wytrzymać, i dlatego zręczny jeździec może je doścignąć, a dobre gończaki dopadają jelenia najdłużej po godzinie gonu, jeżeli nie ma jakichś szczególniejszych przeszkód. W wodzie płynie jeleń z wielką pewnością, przebywa też wielkie nawet rzeki i jest w stanie do dwóch mil angielskich pływać tak szybko, że niepodobna go czółnem dopędzić. Dopadnięty przez psy na wybrzeżu morza, rzuca się w wodę, płynie milę (angielską) lub dwie od brzegu i wraca dopiero wtedy, gdy już niebezpieczeństwo minęło.

Mięso jelenia wirginijskiego należy do bardzo delikatnych i smacznych gatunków zwierzyny, o wiele delikatniejsze, niż mięso naszego jelenia lub jelenia Wapiti Oczywiście, że najsmaczniejsze w czasie jesiennej łojności zwierza.

Zanim Indyanie zapoznali się z bronią palną, łowy na jelenia wirginijskiego wymagały z ich strony niesłychanej przebiegłości i wytrwałości. Rywalizował Indyanin z pumą i wilkiem w swych wyprawach na tę smaczną pieczeń. Najczęściej brał jelenia naśladując głos rogacza w czasie rui lub beczenie młodych. Czasem zaś przystrajał się w skórę ubitego rogacza, z wieńcem na głowie przywiązanym, i naśladował cierpliwie chód i skoki zwierza, aby się módz podsunąć pod stado i z łuku do zwierząt strzelać.

Biały człowiek poluje na jelenia wirginijskiego w rozmaity sposób. W górach używane są przedewszystkiem łowy na podjazd ze sztućcem, w gęstych kniejach bierze się do pomocy psy i dobrą dubeltówkę. W razie wysokich śniegów używa się nartów i puszcza się w pościg za zwierzem, które, zapadając się w śniegu, nie może uciekać i łatwo pada z umęczenia. W Wirginii przyczyniono się do znacznego wytępienia jelenia, nastawiając nad wodami żelazne paści, lub wbijając na przesmykach ostro zakończone koły, na które przeskakujący zwierz się nabijał. Gdzieniegdzie, zbadawszy drogi, któremi jelenie chodzą do wody, polują na nie z łodzi i strzelają na wodzie. Szczególnem rodzajem łowów jest także polowanie z ogniem. Do kniei wybiera się nocą dwóch ludzi, jeden niesie w żelaznej fajerce ogień ze smolnych szczyp, drugi postępuje tuż obok niego z bronią gotową do strzału. Nagły widok ognia w lesie przeraża do tego stopnia zwierzęta, że stają jak skamieniałe. Z tej chwili korzysta myśliwy i strzela. Zdarza się, iż po strzale przybiegają dalsze zwierzęta i stają, patrząc z przerażeniem na ogień. Zachodzą wszakże i niemiłe pomyłki przy tym sposobie polowania; myśliwy nie widzi wiele więcej nad świecące oczy zwierzęcia, zwrócone ku ogniu, otóż strzał kładzie czasem nie jelenia, lecz krowę swojską, pasącą się w lesie.

(*Dokończ. nast.*)

Wilk u Mongołów i Chińczyków.

Podróżny, zwiedzający Mongolię, przygotowany jest przedewszystkiem na to, że się spotka z wilkami i doznaje zawodu. Może przejechać kraj cały od Kałganu do Kiachty i nie ujrzy wilków na oczy, chociaż słyszy nieraz ich wycie. Przypisać to należy tej okoliczności, że wilk mongolski boi się człowieka i nie rzuca się na niego.

Mongołowie wiedzą i opowiadają sobie nieraz o tem, że zarówno w Rosyi jak i w Chinach, rzucają się wilki na

ludzi, pożerają ich, że dzieci z pastwisk i chat porywają — ale sami się wilka nie boją. Całkiem przeciwnie rzecz się ma z Chińczykami, którzy w sprawach handlowych często do Mongolii przyjeżdżają; ci na widok wilka popadają w strach paniczny i umykają co im sił starczy. Mongoł natomiast biegnie ku wilkowi, krzycząc przeraźliwie i gwałtownie gestykulując, jakgdyby go nagle jakiś szał ogarnął. Nieraz, wśród ciszy popołudniowej, powstaje nagle wrzawa nieopisana w osadzie mongolskiej. Każdy wie już co to znaczy i wybiega, ażeby także krzyczeć i wrzawę zrobić straszniejszą. Oto wilk wpadł pomiędzy bydło, albo podkrada się pod nie — więc najokropniejszym wrzaskiem odpędzają go Mongołowie. A gdy zawsze tak się z wilkiem obchodzą, więc nie dziw, że wilk już z pokolenia w pokolenie boi się wrzaskliwego Mongoła i nawet przed dzieckiem mongolskiem ucieka.

Inny powód, dlaczego wilki w Mongolii człowieka nie napastują, może leżeć i w tem, że nigdy nie są do tego głodem zmuszone. Łatwo im w ciągu dnia chwycić gdzieś na pastwiskach jagnię lub owcę, a w nocy zakraść się do źle zaopatrzonych i strzeżonych koszar. Jeżeli nie wpadnie basiorowi owca pod zęby — zdobycz najłatwiejsza, której sam daje radę — to wówczas łączą się wilki w wyprawy wspólne na woły, wielbłądy lub konie, zazwyczaj z dobrym skutkiem. Na co więc wilkowi chudego, kościstego Mongoła, kiedy ma lepszą strawę w jego dobytku?

Mongoł szczyci się tem, że śmiało na wilka naciera i ma w pogardzie tchórzliwych Chińczyków. Twierdzi nawet z całą stanowczością, że każdy wilk rozróżni Mongoła od Chińczyka i wie na kogo się rzucić, a kogo omijać. Dla oka ludzkiego nie jest w istocie trudnem, nawet z oddali rozróżnić, czy to idzie Mongoł czy Chińczyk, tak bardzo różni ich postawa, chód i ubiór. Czy i wilk zdaje sobie sprawę z tej różnicy, trudno pwiedzieć, Mongołowie wszakże są o tem święcie przekonani. A jeśli przypuścimy, że każdy człowiek przyodziany w niebieski watowany kaftan i takież watowane spodnie przed wilkiem umyka i daje się zagryść, gdy go wilki dogonią — ten zaś, którego odzieżą jest długa futrzana szuba, zawsze wpada w szalony gniew i ku wilkowi biegnie, jeśli zaś jest na koniu, dopędza go i uderzeniem w łeb ubija — to możliwem jest wyprowadzenie wniosku, że wilki z biegiem czasu nauczyły się oba te zjawiska dobrze rozróżniać i skutkiem tego inaczej wobec obu rodzajów ludzi się zachowują.

Pomiędzy Mongołami kursuje też wiele dykteryjek o strachu Chińczyków przed wilkami, przypominających nasze gadki o żydkach bojących się wilka, oraz powiastek o wyprawach Mongołów na wilki.

Pewien Mongoł — opowiada jedna z dykteryjek — wybrał sie za kupią do Chin. Gdy już wracał konno do domu, zobaczył w pewnej wiosce chińskiej, jak wilk wydrapał się na wał ziemny, otaczający zagrodę chińską, gdzie na podwórzu dzieci się bawiły i gotował się do skoku, chcąc widocznie któreś z dzieci porwać i unieść. Mongoł pochwycił swą flintę, wymierzył i wilk padł ugodzony celnym strzałem. Odgłos strzałów przeraził Chińczyków, a jeszcze bardziej staczający się z wału ubity basior, którego przedtem nie zauważyli. Gdy się jednak rzecz wyjaśniła, wyprawili Chińczycy na cześć swego wybawcy ucztę i obsypali go podarkami.

Jeszcze inna anegdotka.

W pewnej nadgranicznej wsi chińskiej upatrzył sobie wilk stodołę bogatego Chińczyka, jako teatr swych rozbojów; zaglądał do niej często i rzucał się na ludzi. W ten sposób pożarł kilku Chińczyków, skutkiem czego strach paniczny ogarnął wszystkich mieszkańców wioski i nikt za skarby świata nie byłby poszedł do stodoły, aby młócić i czyścić nagromadzone tam zboże. Wtem pojawił się pewien Mongoł, znany jako dobry i odważny strzelec. Duch wstąpił w przerażonych mieszkańców; wysłali do Mongoła deputacyę z prośbą, aby uwolnił okolicę od plagi okrutnego wilka. Mongoł zgodził się, tem bardziej, że mu przyrzeczono sowitą nagrodę, jeśli wilka ubije. Poszedł tedy nocować do stodoły. W ciągu nocy zjawił się wilk istotnie, ale gdy znalazł człowieka, który przed nim nie uciekał, wziął na rozum i sam się wycofał. Mongoł nie miał więc czasu, aby się zmierzyć do basiora i ubić go. Tak przez kilka nocy zasiadał się Mongoł, ale nadaremnie; wilk tchórzył i nie chciał się rzucić na człowieka. Nareszcie poszedł Mongoł po rozum do głowy i oświadczył, że nadal nie pójdzie sam na noc do stodoły, lecz kilku Chińczyków musi mu towarzyszyć. Niechętnie, lecz zgodzili się na to Chińczycy, i kilku z nich, choć z duszą w piętach, poszło na noc do stodoły. Gdy wilk się pojawił, zerwali się wszyscy na łeb na szyję ku drzwiom. Tego widocznie potrzeba było tylko basiorowi, bo rzucił się za nimi, ale z tej samej chwili skorzystał także Mongoł i wpakował mu nabój pod łopatkę.

Uganianie się za wilkami po stepie należy do największych przyjemności Mongołów. Jeździec sam jeden, na dobrym koniu, dopędza wilka i ubija go. Gdy jest niebezpieczeństwo, że basior wpadnie w niedostępne dla konia jary, to wtedy poluje na niego dwóch jeźdźców, jeden, który za nim pędzi i drugi, który mu drogę ku jarom odcina. A biada wilkowi, który podejdzie pod stada pasących się koni. Pastuchy na koniach rzucają się wówczas z pętami, (rodzajem lassa na 3 do 4 metrów długiego, używanego do chwytania i pętania tabunów), rzucają niemi na wilka, chwytają go i duszą.

Pościg konno za wilkiem udaje się najlepiej w porze zimowej, gdyż śnieg hamuje bardziej wilka w biegu niż konia, a nadto wytężony galop mniej szkodzi koniom w zimie, niż w upalnem lecie. Zresztą Mongoł nie łatwo naraża swego konia na niepewne i nie puszcza się w pogoń za wilkiem dla czczej zabawki; czyni to tylko wtedy, gdy stadom jego grozi w istocie od wilków niebezpieczeństwo.

„Pewnego razu — opowiada podróżnik E. M. Köhler — obozowaliśmy w pobliżu namiotów bogatego Mongoła. Nagle ujrzeliśmy, jak całe stado należących do niego wołów, które dotychczas najspokojniej się pasło, ruszyło zbitym szeregiem naprzód, jakby do szturmu.

— Oho! Uderzają na wilka! — zawołali pastuchy, i dali znać o tem swojemu panu. Ten nakazał ścigać wilka na koniach. Pastuchy nie czekali na powtórzenie rozkazu, z radością dosiedli koni i popędzili jak wicher. Ale nie udała się im wyprawa. Wilk, ujrzawszy pościg, rzucił się szybko w bok, ku lesistym wzgórzom i zniknął pastuchom z oczu, bezpieczny wśród drzew i jarów."

Wilk mongolski jest w ogóle zwierzęciem podstępnem i tchórzliwem, bardziej złodziejem niż zuchwałym rabusiem. Woli ukradkiem porwać barana, tak, że go nikt nie widzi, niż wpaść odważnie do strzeżonej przez ludzi koszary i rzucić się na większą sztukę bydła. Polując na owcę, liczy wilk cokolwiek na niedbałość i nieuwagę pastucha. Może on siedzi właśnie w swym namiocie przy herbacie, albo drzemie położywszy się na trawie, obok swego wierzchowca, którego uzdę trzyma i przez sen w ręku — albo może odjechał dalej w step. Wtedy to korzysta wilk ze sposobnej

chwili, ażeby wziąć ze stada swą dziesięcinę, a wpada z taką szybkością, że widzi się go dopiero wówczas, gdy już pośród owiec plądruje. W tych kilku minutach, których potrzeba, aby pastuch przybiegł na pomoc, leży już dwie lub trzy owce zagryzione, a basior wyssał już nieco krwi i pożarł co tłuściejsze części mięsa.

Wraz z biegnącym na pomoc pastuchem, biegną zazwyczaj i sąsiedzi. Następuje wówczas lament i rozhowory bez końca nad zagryzionemi owcami. Rozważają, czy która żyje, czy może się wygoić, czy trzeba ją dobić. Tymczasem wilk, goniony przez psy całej osady, jest już za górami.

Gdyby Mongołowie strzegli swych trzód i stad tak troskliwie jak Chińczyki, to może wilk w Mongolii byłby równie złośliwym jak w Chinach i tak jak tam, napadałby z głodu na człowieka. Lecz przy nieopatrzności Mongołów łatwiej mu o zdobycz i dlatego nie godzi na człowieka i nie pokazuje mu się na oczy.

Chińczyk, w obrzydzeniu swem i strachu przed wilkiem, nie używa w rozmowie właściwej nazwy, oznaczającej wilka. Określa go, opisuje, nazywa psem, dzikim psem — ale wyrazu „wilk“ nie może ze strachu wykrztusić. Człowieka złego o chytrem, niegodziwem usposobieniu, zowią Mongołowie „człowiekiem o wilczem sercu“.

Jedyną korzyścią, którą Mongoł z zabicia wilka odnosi, jest jego skóra. Futro z niej ma swoją wartość i tak jest płacone, że klas uboższych nie stać na chodzenie w wilczurach. Noszą go ludzie zamożniejsi; jest też ono wyborną ochroną na mroźne wichry stepowe i ładnie na oko wygląda. Najczęściej używają futra wilczego na kurtki do jazdy konnej, a wtedy, podobnie jak u nas czasem kożuchy baranie, nosi ją Mongoł włosem do góry.

W Chinach używają futer wilczych na kobierce na podłogę, do jazdy, lub do przykrywania się w zimie. Cena takiego kobierca dochodzi do 20 marek, stosownie do tego, jak jest futro dobrane i jakiem suknem podbite. Główną targowicą futer wilczych jest Kałgan.

J. Z.

KORESPONDENCYE.

Z Lisowic, w październiku 1896.

(Z łowów jesiennych).

Znaną jest rozmaitość zwierza w lasach Lisowickich: przy niedźwiedziu, rysiu, wilku i licznych stadach dzików, ileżto razy zdarzyło się, iż wyżej stu strzałów padło do ptaków: słonek i jarząbków! Na tegorocznem dziesięciodniowem polowaniu jesiennem przeważnie jednego rodzaju roskoszy myśliwskiej udzieliła nam knieja Lisowicka: wybitnie pięknego polowania na ptaki.

Polowaliśmy wcześnie, między 12. a 22. października i zastaliśmy w pełni obfity ciąg słonek; padło ich 73. Można będzie mieć wyobrażenie o ilości tych ptaków, gdy się rozważy, iż rewiry bynajmniej nie są urządzone do polowania na słonki i mioty bardzo duże, trudne do obstawienia; ileżto ptaków nie wypędzonych na linię strzelb, ile nie ruszonych zupełnie, ileż wreszcie rozlatuje się tak, iż o porwaniu się ich w miocie wcale nie wiedziano. Dodajmy do tego, iż przeważna część myśliwych, w słusznej zawsze nadziei spotkania się z grubym zwierzem, poluje z trzylufkami.

Broń to cięższa, trudniejsza w szybkiem zmierzeniu się, często więc myśliwy rady sobie dać nie może, gdy słonka, nigdy nie wyczerpana w niespodziewanych zwrotach w locie, jak gdyby igrała z niemogącymi jej dosięgnąć śrutami. W jednym dniu n. p. (przyznanie faktu chyba zmniejszy grozą tego feralnego dnia) do trzydziestu bez mała słonek chybiono — a przecież od kiedy istnieje Towarzystwo, nie padło ich 73 w jednym sezonie polowania. To daje miarę obfitości tegorocznego ciągu.

Tak rzadki na naszych polowaniach jarząbek podchował się bardzo w tych lasach. Nigdy jeszcze nie zabiliśmy tak wiele tych milusich ptaków: 49 jarząbków na „tirehaut“ w 10 dniach — to zasługuje na osobną, wybitną wzmiankę w naszej kronice. A przyczyniliśmy się także do szczęśliwych na przyszłość jarząbkowych lęgów, zabiwszy 16 sów uralskich (długoogonowych). Największy to szkodnik, łakomy zwłaszcza na delikatne jarząbkowe mięso; w jednym dniu padło siedem tych drapieżników. Prawda, że w tych miotach, zwykle w jarząbki obfitujących, ani jeden się nie pokazał.

By świeży wawrzynu listek módz wpleść do ptasich naszych trofeów — postarały się o to cietrzewie. Zastaliśmy w małych kilku miocikach niskich krzaków, o pastwiskowym wyglądzie, tak znaczną ilość tych wspaniałych ptaków, o jakich Lisowice dotąd pojęcia nie miały. Skromność myśliwska i przyznanie się do winy w chybnych strzałach, to są wielkie cnoty, ale trudno im ciągle bez ograniczenia hołdować; czyż można tedy wyraźnie napisać, do ilu kogutów cietrzewich chybiono? Nie — byłoby to dla interesowanych czytelników nadto przykre — z drugiej jednak strony kronikarz, gdyby nic nie napisał, nie dałby sobie rady z przedstawieniem ilości strzelanych kogutów. Otóż mało brakuje do dwudziestu z tych ptaków, które szukały naszych, chciwych trafienia śrutów — a pięć tylko je znalazło, zdobiąc wspaniale ogólny rozkład tegorocznych łowów.

Tylko dwa dziki zabite stanowią mniej wesołą pozycyę. Zdaje się, iż powodem małej ich ilości jest nieurodzaj żołędzi — a ten nieurodzaj tegoroczny, bardzo niestety widoczny, sprawia, iż dziki nie schodzą do niżej położonych rewirów, nie spodziewając się tak pożądanego dla siebie żeru.

Lisowice zaiste nie kradzioną dotąd cieszyły się nazwą i zapewne prawdziwym był powód tego nazwania: lisy tu bowiem od dawnych lat obrały sobie siedlisko — w tym jednak roku już chyba o zmianie nazwy pomyśleć będzie trzeba, lisów bowiem tak jakby nie było. Tam, gdzie nie rzadko pół setki lisów dawniej ginęło — teraz zabiliśmy ich zaledwie dziesięć. Ten brak lisów, o ile mi wiadomo, powszechnym jest tego roku. Czyżby i na tego szkodnika, nigdy żadną nie dosięganego klęską, przyszła jakaś zaraza, jakiś okres fatalny, tamujący tak zwykle pomyślną rozmnożę? Domysły bowiem, iż wyemigrowały za myszami, wyglądają na farsę; myszy w tym roku nie grasują, a zresztą i w okolicach gdzie są, lisi przyrost nie jest widoczny.

Ogólny wynik w mowie bedącego polowania przedstawia się jak następuje: dzików 2, rogaczy 17, lisów 10, zajęcy 67, cietrzewi 5, jarząbków 49, słonek 73, sów 17, jastrzębi 1. Razem sztuk 241 na strzałów 692.

A. K. W.

Warszawa w październiku.

(Z Towarzystwa racyonalnego polowania).

Towarzystwo racyonalnego polowania obradowało w ciągu października aż dwa razy, na nadzwyczajnem posiedzeniu dnia 21. b. m. i na zwyczajnem dorocznem zebraniu d. 28. b. m. Prądy bardziej fachowe i myśliwskie, a mniej klubowe, uwydatniły się w pewnych dążeniach do reformy, które z jednej strony wywołały przesilenie gabinetowe w Wydziale ochrony Towarzystwa i ogólne złożenie mandatów przez tenże, z drugiej zaś strony znalazły swój wyraz we wniosku p. Kaczorowskiego, aby w klubowym lokalu Towarzystwa zniesiono grę hazardową w karty.

Hazardowe gry w karty są w ogóle chorobą, grasującą dziś w dość zastraszający sposób po rozmaitych klubach i na zebraniach prywatnych i nie można się dziwić reakcyi, która z tego powodu zaczyna się w różnych kołach towarzyskich Warszawy objawiać, a ostatecznie wybuchła także w łonie Towarzystwa.

Lecz przejdźmy do właściwego porządku spraw, załatwionych na zgromadzeniu dorocznem. Przyjęto przedewszystkiem do wiadomości sprawozdanie z czynności za rok upłyniony. Ze sprawozdania tego widzimy, że Towarzystwo wzmocniło nieco swe szeregi; liczy w samej Warszawie 364, na prowincyi 486, razem 850 członków. Stan finansów Towarzystwa jest obecnie wcale świetny, wykazuje bowiem własny majątek w kwocie 26.340 rs.

Przy punkcie wyborów do Wydziału ochrony, wyrażono przedewszystkiem podziękowanie dotychczasowemu Wydziałowi, który wniół swą rezygnacyę i proszono, aby członkowie jego czynności swe nadal sprawować zechcieli i ponowny wybór przyjęli. Jeśli zaś Wydział czuje się krępowanym dotychczasowemi instrukcyami, to ma opracować projekt zmian odpowiednich. Przedsięwzięte wybory stwierdziły zresztą zaufanie członków Towarzystwa do byłego Wydziału, gdyż przeważna większość tegoż weszła i w skład nowego Wydziału. Wybrani zostali pp. Aulejtner Wacław, Blumental Mikołaj, hr. Branicki Ksawery, Dziechciński Stanisław, Haberbusz Henryk, Jełowicki Aleksander, Lilpop Ludwik, Rembowski Aleksander, Sielski Zygmunt, Słonczyński Władysław, Sztolcman Jan, Szwede Aleksander, gen Wojde i Wysocki Bronisław.

Do Rady Towarzystwa weszli pp. Jen. Bibikow, Dziechciński Stanisław, Jełowicki Aleksander. ks. Lubomirski Stefan, Łaszcz Ludwik, jen. Mejer, jen. Palenow, ks Radziwiłł Maciej, Sztolcman Jan, Wysocki Bronisław i Wysocki Aleksander.

Kasyerem wybrany został p. Bandtke-Stężyński Aleksander.

Ze spraw dalszych, które były na zgromadzeniu traktowane, podnosimy, że ogłoszony przez Towarzystwo konkurs na napisanie najlepszych monografii zająca i sarny, pomimo nadesłania niektórych prac, nie został rozstrzygnięty i przedłużono go do 1. stycznia 1898.

Dzierżawę polowania w Złakowie w pow. Łowickim postanowiono zatrzymać i wzięto nadto w 15-letnią dzierżawę prawo polowania w Osiecku, własności hr. Jakóba Potockiego.

P. Nitkowskiemu przyznano czwartą nagrodę na konkursie wyżłów w kwocie 50 rs. za sukę rasy niemieckiej krótkowłosej „Donnę“ i dano dwie nagrody w kwotach 50 i 25 rs. dreserom, układającym psy myśliwskie hr. Wł. Potockiego i p. Nitkowskiego.

Podano w końcu do wiadomości zgromadzonych, iż poczynione zostały kroki do rządu: co do wydania instrukcyi dla straży ziemskiej względem ważności biletów na broń i na prawo polowania na całe Królestwo — o przyspieszenie wydania nowego prawa o polowaniu — o wydawaniu pozwoleń na broń dla straży leśnej, o zaostrzenie przepisów co do utrzymywania psów na wsi i strzelania psów włóczących się.

Zgromadzenie odbyło się w obecności około 90 osób pod przewodnictwem prezesa Towarzystwa, jen. Sidorowa.

J.

Sprawozdania łowieckie.

— W Olejowie, u hr. A. Wodzickiego, na polowaniu w sześć strzelb w dniach 5, 6, 7 i 8 października ubito 85 słonek, 7 rogaczy, 28 zajęcy i 17 lisów.

— W Antoninach, majątku hr. Józefa Potockiego na Wołyniu, po zapasach wyścigowych i sportowych zabawach w dniach 17 i 18 października, odbyło się dnia 19 października polowanie *par force*. Wyborne konie i przeszło 20 znakomitych psów, pochodzących z pierwszorzędnych psiarni zawodowych we Francyi i Anglii, obok wybornego prowadzenia przy pomocy sprawnych ludzi, wyrobiły polowaniom Antonińskim zasłużoną sławę.

Pogoda sprzyjała; po dniach wietrznych i suchych spadł deszcz, poczem wichry złagodniały i nastał przyjemny dzień jesienny. W polowaniu wzięło udział poważne grono, liczące wraz ze służbą około 40tu jeźdźców, a między tem dwie panie, hr. Józefowa Potocka i księżna Z. Czetwertyńska. Pościg rozpoczął się około godz. 3ciej popołudniu za zającem, którego wyruszono w 20 minut po wyjeździe w pole. Psy wysunęły się naprzód, za nimi cała kawalkada jeźdźców po gruncie falistym, mającym swe niespodzianki i dlatego nie zbyt łatwym. Nie trwało jednak i 15 minut, gdy pierwszy zając został wziętym.

Drugi szarak był już wprawniejszym graczem, bo psom i jeźdźcom więcej dał do roboty i ciągnął ich za sobą dalej, niż na 8 wiorst. Kierował się wprost na wieś, zbił psy z tropu i wprowadził jeźdźców na błotnistą łąkę, w której kilka koni zagrzęzło, a kostiumy niektórych panów doznały niemałego szwanku. Ale szarak — szczwany gracz — nie wpadł do wsi, tylko pod samemi chałupami zawrócił w pole Tu jednak tak już był zmachany i osłabiony, że skoro tylko psy odnalazły trop, wnet go dopadły i zadławiły. Słońce zachodziło za chmury, gdy pościg się kończył, konie były spienione od niezwykłego wytężenia, a jeźdźcy, którzy wpadli w błoto, czyścili jak mogli zdefektowaną garderobę.

Der Schuss. Erklärung aller den Schusserfolg beeinflüssenden Umstände und Zufälligkeiten, von Friedrich Brandeis mit 45 Abbildungen u. vielen Tabellen. Wien, Pest, Leipzig, A. Hartlebens Verlag 1896. stronic 280.

Celem autora tej książki jest dokładne obznajomienie szerokich kół ze znaczeniem czynników, wpływających w rozmaity sposób na efekt broni palnej w ogólności, a gdy autor zmierza ku temu nie gołosłownem rezonowaniem, lecz drogą najracyo

niejszą, tłumacząc każdy szczegół prawami ballistyki i opierając się na bardzo rozległych własnych doświadczeniach z bronią wojenną i myśliwską, praca jego zająć może każdego, kto ma z bronią palną do czynienia, tem bardziej, że dzieło to nie jest przeciążone balastem suchych cyfer, tyle niestrawnych dla praktyka, i tylko w miejscach, gdzie to jest rzeczą nieuniknioną, posługuje się autor formułkami matematycznemi, używanemi w c. i k. akademiach wojskowych.

Niezbitą pozostanie prawdą, że są rzeczy, których nikt jeszcze z książki się nie nauczył; komu brak iskry bożej, ten jej nie zaczerpnie z żadnej książki na świecie, nie urosną mu skrzydła prawdziwego hypogryfa. Tak też i tu, kto nie posiada warunków przyrodzonych, a szczególnie temperamentu odpowiedniego, ten po przeczytaniu nietylko omawianej książki Brandeisa ale nawet po zgłębieniu teoryj balistycznych Tartaglii, Galileusza, Bernorelliego, Eylera, Bordy, Huttona, Tempelhofa, Otta, Magnusa Didiona, Majewskiego, Hr. Bylandt-Rheidta i t. d. będzie strzelał w jakiejś sobie właściwej linii parabolicznej i w rezultacie doktor ballistyki pozostanie doktorem, a pudło pudłem. To też autor dzieła „*der Schuss*“ nie ma pretensyi, aby książka jego wytworzyć mogła strzelca, jednak kto posiada ku temu warunki, może się z niej wiele nauczyć, a przedewszystkiem zoryentować się w chaosie niezliczonej masy czynników, które na strzał w rozmaity sposób wpływają.

W obec warunków, w jakich się dzisiejszą broń myśliwską wyrabia, trudno przypuścić, aby istniały tam jakieś zasadnicze różnice w fabrykacyi, jakieś niedokładności, mogące uczynić wyrób zupełnie bezwartościowym bo nieużytecznym. Wszak zazwyczaj broń myśliwska nabywaną zostaje dopiero po próbie praktycznej, interes zatem fnbrykanta wymaga precyzyi pod każdym względem, a sposób fabryczny wykonania i praca machin nie dopuszczają istnienia tak ogromnych różnic w precyzyi strzału, jakie się w późniejszej praktyce myśliwskiej widzieć dają. Na czemże polega kolosalna różnica cen broni myśliwskiej, pominąwszy już jej stronę estetyczną, ornamentalną, która w sposób całkiem łatwo zrozumiały na jej ceny wpływa? Czy na użyciu tańszych lub droższych materyałów? Sądzę, że różnice te jeszcze nie usprawiedliwiają skali cen broni myśiiwskiej — więc cóż? Niezbyt wtajemniczony w misterya fybrykacyi, sądzę, że o cenie broni nie stanowi tyle materyał, ile jej mniej lub więcej subtelne wykończenie ręczne, warunkujące na długi czas precyzyę w użyciu.

Prawdziwy znawca przedmiotu, na pierwszy rzut oka rozpozna tę subtelność wykończenia, a przekonawszy się próbą praktyczną o wszechstronnej dobroci broni, chętnie się zgodzi na wysoką jej cenę, i może być spokojnym, że obchodząc się nadal z bronią należycie, nie odstępując od najlepszych warunków ballistycznych w naboju, nie dopuszczając gromadzenia się subtelnych braków wskutek użycia, nie dozna zawodu. Jednak nie zawsze się tak dzieje, owszem, nazbyt często, a nie mówię tu jedynie o broni już z urodzenia mniej dokładnie wykończonej, pojawiają się w strzale pewne braki niepokojące myśliwego. Są to zagadki, na które wszechstronną odpowiedź daje książka Brandeisa.

Trafność broni nie jest jeszcze ostatecznym celem strzału, a broń jedynie trafna a nie mordercza, staje się powodem prawdziwej i usprawiedliwionej zgryzoty dla myśliwego. Wszak kaleczenie zwierza nie leży w zakresie jego powołania. Trafność jest tylko środkiem dopięcia celu i łączyć się musi z odpowiednią siłą pocisku, aby ostateczny cel strzału t. j. ubicie zwierza w sposób najhumanitarniejszy (proszę mi darować ten wyraz) mogło mieć miejsce. Przodkowie nasi, chcąc sobie zabezpieczyć to działanie, przeładowywali instynktownie swe rusznice; w skutek tego chyżość początkowa pocisku a zatem i jego siła perkusyjna stawała się większą, gdy zaś rusznica „kopała“, to nie sprawiało wcale kłopotu, przeszło to w zwyczaj i nawet przysłowie uświęciło dobroć takiej praktyki: „Gdy strzelba szturknie w ramię, to szturknie i w zwierza“. I szturkały w samej rzeczy te rusznice — szturkały i w zwierza te gwintówki, muszkiety, madrytki, Esquibelki, Santosski, Gargassenki, Lazarynki, wstęgówki, kapucynki, Kasselki, Kuchenrajterki warszawskie, a w niedawnych jeszcze czasach popularne ferlachówki, — i szturkają obecnie jeszcze niemiłosiernie wszystkie te domorosłe „łomaki“, jakich używa lud, przesadzając ładunek prochu, aby tylko nie puścić „na wiatr“ żadnego ładunku.

Braki dawnej broni, gdzie kłak przybitkowy, przepuszczając siłę gazów osłabiał wybuchową działalność prochu, i już przezto samo zmuszał do użycia za wielkich ładunków, ustały przy przybitce, zbliżającej się coraz dalej do hermetycznego ideału, a istnej pladze dawnej broni śrutowej, t. zw. rozrzucaniu, zapobieżono również w sposób stanowczy zastosowaniem tak konstrukcyi broni jakoteż ładunków do prawideł ballistycznej dynamiki.

Jest rzeczą zrozumiałą, że dawni myśliwi, mając do czynienia z bronią, w której częstokroć tkwiło wiele błędów w zasadniczej konstrukcyi, i obracając się przytem w labiryncie niezlicznych czynników, wpływających na strzał, do których zbadania częstokroć życie jednego praktyka nie wystarczało — wikłali się w matnię zabobonów, które fantazya myśliwska jeszcze dalej przędła. Powstawały stąd szczególne predylekcye dla jednej broni, a pomiatanie inną, a wszystko zależało po największej części od rąk, w które się pewna broń dostała, o czem i sam właściciel jej nie wiedząc, przyznawał swej broni jakieś szczególne zalety. Nie da się zaprzeczyć, że i dwa na pozór zupełnie identeczne wyroby mogą się gwałtownie różnić co do swej użyteczności; tem częściej mogły się takie wypadki zdarzać w epoce o wiele niedokładniejszej techniki fabrycznej; jednak z drugiej zaś strony przyznać musimy, że o użyteczności strzelb dawnej konstrukcyi stanowiło wiele bardzo długoletnie doświadczenie, wyznanie się praktyki w rozmaitych sekretach, jakie przy użyciu i ładowaniu broni zachować należało, aby ostatecznie przyjść do zgody z prawami ballistyki. Strzelby takie, będące własnością wybitnych myśliwych, ani świeżyły, ani rozrzucały, „brand“ posiadały znakomity, a po śmierci właściciela spierano się o nie jak o broń Achillesa. Jednak gdy do grobu poszły z właścicielem sekrety, znów rozczarowanie — sławą otoczona broń zawodziła w innej ręce.

Dziś takie rozczarowania utrudnił ogólny postęp w technice konstrukcyjnej, ujednostajnienie wyrobu i na racyonalnych, bo na formułkach matematycznych oparte użycie broni. Rozwiał się w niwec cały las uprzedzeń, fantazyjnych wyobrażeń, które takim czarem otaczały historyczną broń zamarłych myśliwych — a w dłoni myśliwego naszych czasów znalazł się przybór, w którym współdziałają niezmienne prawa przyrodnicze pod ścisłą kontrolą świadomej celu ręki.

Gdy jednak trudno o rozczarowania w naszych czasach, to zdarzają się częstokroć nawet grube nieporozumienia nawet i tam, gdzie linia logarytmiczna stanowi nić przewodnią — zdarzają się i w kniei pomiędzy myśliwym a jego bronią, stąd też książka wsprowadzająca *clara pacta* w tym stosunku wzajemnym, jest objawem pożądanym, rady znawcy i długoletniego praktyka mogą zaoszczędzić niejedną przykrą chwilę w wykonaniu łowiectwa.

Władysław Spausta.

KRONIKA.

Pyłypko i odyniec. W Rojatynie, w pow. sokalskim, w majątku p. Józefa Żukiewicza, trzej fornale pasąc na oziminie konie, zauważyli naszczekiwanie psów, dwóch zwykłych dworskich kundysów. Pobiegli więc w kierunku, skąd szczekanie się rozlegało i ujrzeli, że psy atakują ogromnego dzika. Uzbroiwszy się w kije, które znaleźli po drodze, posłali chłopca po rządcę, ażeby przyszedł ze strzelbą, a sami do odyńca. Jeszcze nie zdążył rządca z pomocą, gdy dzielni fornale osaczyli dzika. Jeden z nich uderzył zwierzę po głowie, wyskoczył na grzbiet i nożem fornalskim pchnął go tak silnie pod lewą łopatkę, że dzika wnet zabił. Odważnym tym pogromcą był 18-letni niepokaźny chłopak, Pyłypko. Dzik ważył 140 kilogramów.

Ostrożnie z bąkami! Każdy zna naszego bąka wodnego, t. z. „hupałę“ (*Ardea stellaris*), ptaka, uzbrojonego silnym, długim, ostrym dzióbem. Niebezpiecznym staje się on, gdy jest postrzelony. Smutne w tym względzie doświadczenie zrobił we wrześniu b. r. młody hr. Trauttmansdorf na polowaniu błotnem w Gmünd. W chwili, gdy chciał podjąć z ziemi postrzelonego bąka, rzucił się ptak ku niemu i ugodził go tak silnie dzióbem w oko, że natychmiast wypłynęło.

Próbka odszkodowania. Jak wyglądaja żądania odszkodowania w Niższej Austryi i jak bywają przyznawane — oto próbka. Chłop, właściciel winnicy, doznawszy ciężkich strat w skutek filoksery, obsadził winnicę na nowo sadzonkami swojskiego wina. Dochodu w tym roku nie miał oczywiście żadnego, chciał się przeto choć odszkodowaniem myśliwskiem poratować. Zgłosił tedy do gminy z końcem września, że na przestrzeni 180 sążni kwadratowych zrobiły mu zające szkodę na 30 zł. Dzierżawca polowania, uwiadomiony o tem, zlustrował sam winnicę, a ujrzawszy tu i ówdzie ślad gospodarki zajęczej, ofiarował chłopu w dobrowolnej ugodzie 5 zł. raczej tytułem podarunku niż wynagrodzenia wyrządzonej szkody. Chłop nie przystał i zażądał komisyjnego sprawdzenia szkody i przyznania mu odszkodowania z urzędu. Przybyli tedy taksatorowie, chodzili po winnicy, kiwali głowami i w końcu otaksowali szkodę na 5 zł. 50 ct. Dwojaki był powód wynalezienia tej cyfry, najprzód ten, aby się zbliżyć do ofiarowanej dobrowolnie kwoty, a powtóre, aby ją przecież obliczyć wyżej niż na 5 zł., bo przy sprawdzeniu szkody na 5 zł lub mniej, spadają koszta komisyjne na tego, kto komisyi żąda, i w tym wypadku byłyby one spadły na samego właściciela winnicy, czego taksatorowie nie chcieli. Nastąpiło załatwienie: przyznano chłopu odszkodowanie 5 zł. 50 ct. i równocześnie nałożono na obie strony koszta komisyjne w wysokości 15 zł., z czego 2 zł., przypadło na chłopa a 13 zł. na dzierżawcę polowania! Oto przedsmak komisyjnych załatwień w sprawach o odszkodowania myśliwskie, jakie i nas czekają, jeśli zejdziemy z drogi polubownego i ugodowego ubijania sprawy na miejscu.

Kontrolor strzałów. Mechanicy Schell i Gehlich w Hamburgu skonstruowali aparacik, dający się łatwo na strzelbie umieścić i kontrolujący automatycznie daną ilość strzałów. Jest on nieczułym na inne wstrząśnienia, poczyna funkcyonować dopiero przy strzałach i markuje takowe do stu, poczem go trzeba na nowo nastawić. Cały aparat mieści się w puszeczce blaszanej na 7 centym. długiej, $3^1/_2$ szerokiej, a 1 centym. wysokiej, którą się wpuszcza w łoże strzelby. W ten sposób nie zawadza aparat wcale i nie szpeci łoża, a wagę strzelby podnosi jedynie o 100 gramów.

Paryskie ceny za zwierzynę są tej jesieni następujące: kuropatwa młoda 2 do 3 franków, stare kuropatwy po 1·80 do 2·15 fr; zając 5 do 7 fr; bażant 3·50 do 5·50 fr. za sztukę. Sarnina 2.50 do 3 fr jelenina 1 do 1·50 fr. za kilogram.

Stawy karpiowe. W „Okólniku“ kraj. Towarzystwa rybackiego znajdujemy następujące treściwe uwagi, w jakich warunkach najkorzystniej zakładać stawy karpiowe.

W każdej wodzie ryby żyć mogą, jedne wymagają wody zimnej i czystej, inne ciepłej i bardzo pożywnej, inne w każdej wodzie żyć i rość mogą. Najmniejszy stawek, bajorko, doły po wybraniu gliny lub torfu pozostałe, wodą zapełnione, nadają się do wychowania ryb, w tych jednak zbiornikach, w których woda do dna wymarza, nie można ryb przez zimę trzymać i, jeżeli niema innej wody, w którejby ryby zimą przechować można, należy, zakupiwszy kroczki, wpuścić je na wiosnę, a w jesieni przed nastaniem większych mrozów, wyłowić i sprzedać. Korzyść i zysk pieniężny będzie zawsze znakomity, którym dzisiaj przy tak niskim dochodzie z gospodarstwa rolnego, pogardzać nie godzi się.

Racyonalne gospodarstwo rybne karpiowe można dopiero wtenczas prowadzić, jeżeli stawy mają należyty spadek i dadzą się zupełnie spuścić i na zimę osuszyć.

Grunta bagniste, moczary zawierające źródłowiska, mają glebę zakwaszoną i jeżeli nie można z nich wody odprowadzić i dna osuszyć, nigdy z korzyścią na stawy racyonalne zamienione być nie mogą, gdyż na gruncie bagnistym nie tworzy się nigdy tyle pożywienia, ile ryby do utrzymania życia i należytego wzrostu potrzebują.

Najważniejszym jednak warunkiem do korzystnego założenia dobrych stawów jest przedszystkiem taka obfitość wody, aby tak wpływ ja odpływ wody do i ze stawów był regulowany i wydatny. Jeżeli ten stan da się osiągnąć, gospodarstwo karpiowe opłaci się sowicie. Woda musi być pożywną i niezakażoną żadnemi szkodliwemi istotami. Woda odpływająca z kopalni, np. z kopalni węgla, nie jest dobrą do stawów, częstokroć ryby giną,; jeżeli żyć potrafią, będą mizerne i bez smaku.

Dalszym warunkiem dobrych stawów jest światło i ciepło. Brzegi stawów powinny być wolne i nie zarośnięte drzewami, a przynajmniej nie takiemi, któreby wiele cieniu robiły. W miejscach wysoko położonych, w górach, nigdy hodowla karpia nie przyniesie znacznych korzyści, najprzód bowiem woda w stawie z powodu częstego przesłonienia słońca chmurami i przy zimnych nocach nigdy się nie ogrzeje należycie i nie wytworzy dostatecznej fauny, śnieg i lód późno schodzi, a zima wczas się zaczyna, czas wzrostu karpia jest więc za krótki, pożywienia mało, a wskutek tego przyrost i wydatność ryb nie odpowiednia. W stawach górskich lepiej przeto hodować szczupaki lub pstrągi, a w bardzo głębokich i większych sieje.

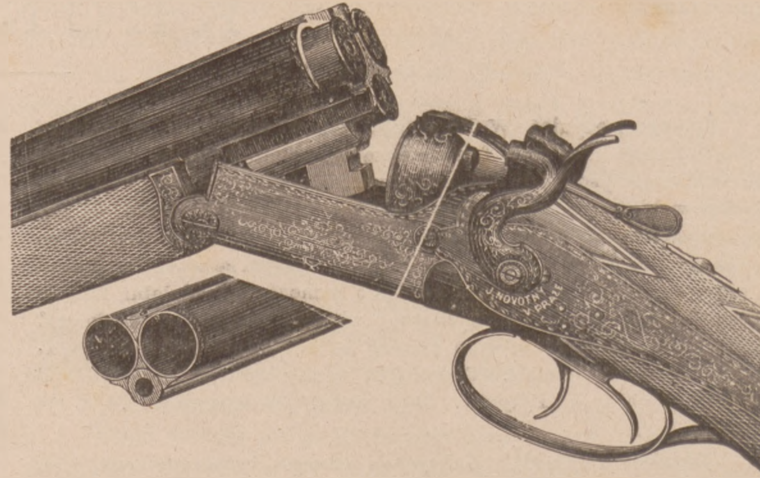
Grunt pod stawy karpiowe powinien być glinkowaty lub humusowo-glinkowaty, gdyż w takim gruncie bujają dobrze rośliny i rozwija się nalepiej drobna fauna, za pożywienie służąca. Grunt wapienny i skalisty jest na stawy karpiowe całkiem nieprzydatny.

Najlepszem otoczeniem stawu karpiowego są pola urodzajne, z nich ścieka woda deszczowa, która albo unosi wprost istoty pożywne do stawów, albo przez zawartość zwą przyczynia się do wytworzenia fauny w stawie.

Jakkolwiek obfity przypływ wody rzecznej, lub strumiennej, jest warunkiem najważniejszym wydatności stawów karpiowych, to jednak za wielki przypływ wody może być szkodliwym, dlatego należy stawy przedewszystkiem ubezpieczyć przed zalaniem powodzią. Za silny przypływ wody niepokoi ryby i przeszkadza wzrostowi; przypływ wody musi więc być spokojny i uregulowany, a jeżeliby wody przypływającej było za wiele, należy zbytnią ilość wpuścić do dzikiego koryta rzeki, lub, jeżeli to niemożliwem, odprowadzić rowem umyślnie w tym celu wybranym.

Do obsady stawów najlepiej brać narybek karpia rasy szlachetnej, ta bowiem szybciej rośnie, i daje zyski większe.

Ceny karpia są dziś jeszcze tak wielkie, a zapotrzebowanie tak znaczne, że założenie jeszcze bardzo wielu gospodarstw karpiowych w naszym kraju nie wytworzy szkodliwej konkurencyi — dlatego właściciele roli zakładajcie stawy i gospodarstwa karpiowe, gdziekolwiek tylko znajdą się odpowiednie warunki!



Sekretarz i Skarbnik gal Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Św. Zofii 1. 8.

TREŚĆ:

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.